

### III

## Wokół domu

## Próba powrotu

Jakżeż to? Dlaczego pierwsze obrazy, jakie wylaniają się z tamtych najdalszych lat, są tragiczne w wymowie? Dlaczego te wspomnienia najbliższe urodzin mają związek ze śmiercią?

A więc słoneczne popołudnie wiosenne. Któraś z trzech moich sióstr stawia mnie na parapecie okiennym w kuchni (doskonale pamiętam, że to było właśnie w kuchni), trzymając mnie pod pachami. Zjawia się w mej pamięci cudowna uroda świata, ujrzana z trzeciego piętra kamienicy. Pode mną sięgające drugiego piętra rozłożyste konary wiązów, których gałązki puszczaają liście, rosnące jakby w oczach. Oszalała świeżość młodziutkiej, delikatnej zieleni, a pod nią perspektywa szerokiej ulicy Głogowskiej, której środkiem bieżą dwie pary szyn tramwajowych. Na rozległych chodnikach bawią się dzieci. Oślepiająca jasność nieba, zapach świeżego powietrza. W głąb tej perspektywy biegnie śliczna, asfaltowana ulica Spokojna, a w bok od niej widać kawałek nie przesłoniętej narożnym domem ulicy Klonowicza, wille w ogrodach. Zachłystuję się radością, zaczynam podskakiwać na oknie, lecz trzymany mocno przez siostrę, podryguję

tylko w kolanach. Ona ściska mnie coraz mocniej, obejmuje mnie całego, wzdycha: „Jezu!” Dziś rozumiem, dlaczego tak westchnęła. Uświadomiła sobie, że urzeczony głębokim i szerokim przestworzem cudnego świata, skoczyłbym na pewno z wysokości trzeciego piętra prosto w jego ramiona, w ramiona wczesnej śmierci. I dziś aż mi żal tamtej śmierci nie spełnionej. Jak dobrze byłoby umierać z takim widokiem przed oczyma i z takimi uczuciami w sercu, zamiast mrzeć w szpitalu lub w bezradnym upadku na ulicy, co mnie przecież czeka.

Lecz zaraz widzę i śmierć spełnioną. To samo okno i też westchnienie: „Jezu!”. Tym razem od otwartego okna bije chłód, jest zima. Ulica Głogowska wypełniona po brzegi przeogromnym tłumem. Środkiem jezdni sunie szereg trumien, zarzuconych wieńcami i wiązanekami kwiatów.

— Ta pierwsza to Franciszka Ratajczaka!

Pamiętam, że było to dokładnie tak powiedziane, choć wtedy nic nie rozumiałem, tak jak nie rozumiałem nic o powstaniu wielkopolskim. Wiedziałem tylko, że trumny zmierzają ulicą Głogowską ze śródmieścia na odległy cmentarz górczyński.

Lecz poza tym, że zabito trochę ludzi, kwitła sama radość z „wybuchu Polski”. Był u nas w domu bardzo długi okres oszołomienia wolnością tak szczerego i intensywnego, że nie zapomnę go do końca swych dni. A namacalnym śladem tej radości jest pewna pamiątka, wklejona do jednego z albumów, założonych w toku moich badań rodzinnych. Otóż jest to czterostronicowa ulotka. Na pierwszej stronie czarnym i czerwonym drukiem wybito z polskim orłem pośrodku następujący tekst: „Pieśni narodowe — Boże coś Polskę, Z dymem pożarów, Boże Ojczy — wydanie wojenne roku 1917 — Nakładem Księgarni W. Sobierajskiej,



Dom rodzinny autora w Poznaniu, ul. Głogowska 69

Poznań”. Wewnątrz znajdują się pełne teksty wymienionych pieśni.

Jest to najmilsza z moich pamiątek. Gdy miałem trzy lata, pieśni te śpiewano z takim przejęciem, z jakim nikt już nigdy ich nie zaśpiewa.

Sygnal „dzieciństwo” wyzwała we mnie kilka za każdym razem innych, lecz w podobnej scenerii dziejących się obrazów: podwórze, sień, pokój, kuchnia,



ulica Głogowska, łąka, może jeszcze park (wtedy ogród botaniczny) i pola wokół Łazarza. Ale właściwie cała moja inicjacja odbyła się na podwórzu. Chyba przede wszystkim tam kształtowały się moje więzi społeczne. Często nie wolno było wyprawiać się na pola, ba, bywały zakazy wyjścia na pobliską łąkę, podwórze, ostatecznie prawie zawsze dało się wyżebrać. Wystarczyło przecież, by w razie potrzeby mama wyszła do sieni i już przez okno, mając mnie na oku, mogła zawołać: Leonard, do domu!

Niekiedy, będąc w Poznaniu, idę do mego rodzinnego domu przy ulicy Głogowskiej 69. Oglądam z zewnątrz tę obskurną rudere, dziś już chyba najskromniejszą, najbrzydszą w całej okolicy. Wchodzę do ohydneho wnętrza, odrapanego i brudnego. Mam ochotę iść po schodach i zaglądać do znanych mi mieszkań, ale zajmują je przeważnie obcy ludzie, a przecież i tych dawnych znajomych nie ma co odwiedzać. O czym bym z nimi rozmawiał, kiedy nasze życia się rozminęły. Raz na parę lat wchodzę tylko do Czarneckich, wstąpiłem do Waligórskich, raz do starej Wolniewiczowej, która straciła pamięć ze starości, kiedy indziej do Stawskich.

Odwiedzam ten dom raz na parę lat. I wtedy śmielej wchodzę na podwórze, do ciasnej, obskurnej studni, leżącej poniżej poziomu ulicy, bo schodzi się na nie po kilku ceglanych stopniach, niemożliwie wydeptanych. Patrzą na obtłuczone tynki trzech oficyn i na piętrowy domek, zajmujący czwarty bok kwadratu. Nad domkiem wznosi się brzydka, ślepa ściana — tylna ściana oficyny sąsiedniego podwórza.

Ten kompleks ruder stanowił raj mojego dzieciństwa. Gdy w tej chwili przymykam oczy, przesuwają się przed nimi różne strzępki obrazów — niewyraźne, niekompletne, wichrzące się, jak gdyby naszkicowane na rozłazących się po niebie chmurach.

Na przykład ten obraz:

Kuchnia, mama przy garnkach, ja na podłodze z jakimiś zabawkami, najpewniej ze szpulkami po niciach, bo mama szyła i dla domu i na wynos. Nagle krzyki od strony podwórza. Mama otwiera drzwi, słyszy coś, woła „Jezus Maria!” i zbiega na dół. Ja wstaję i gramolę się do sieni. Schodzę na półpiętro, podchodzę do podwórzowego okna i wspinam się na palce, żeby zobaczyć, co się dzieje na dole. A tam ojciec trzyma obu rękami Jankę i wpatruje się w jej twarz. Matka już dobiega do niego. Z okrzyków i rzucanych bezładnie zdań dowiaduję się, że ojciec rąbał drewno na opał, a jakiś odłamek uderzył w twarz stojącą obok moją średnią siostrę, która zanosila do piwnicy naręcza drew. Wszyscy mówią o oku. Ale po minucie, dwóch, gdy mama idzie z nią po schodach na górę, wiadomo już, że oczy są całe i tylko trochę przetracony nos. Ja jednak ze zgrozą myślę o uderzającym w twarz kawałku drewna i o wielkiej, ostrej, ciężkiej siekierze, której nigdy nie wolno mi było nawet dotknąć. W dodatku mama, przechodząc z Janką obok mnie, lamentuje:

— Jeszcze kogo zabije, stary pierun. Już raz mu siekiera spadła z trzonka i o mało co poleciałaby Stawskim w okno. Żeby tak nie uważać!

To jest pierwsza scena z podwórza, którą pamiętam, a zarazem jedna z pierwszych scen dzieciństwa. A więc znowu pełna grozy. I zaraz podobną grozą przeszywa wspomnienie czyjegoś wrzasku: „Stefan się utopił!” i skok matki do drzwi, i dopiero czyjeś wyjaśnienie w sieni: „To nie pani syn, to Stefan Waligórskich”. Chodziło więc o syna sąsiadki. Przeto mama wraca do kuchni, trzymając się za serce, ciężko dyszy, a po chwili opada bezwładnie na krzesło i głowa jej leci na piersi. A od podwórza dobiegają dalsze wrzaski na temat utonięcia tego wesołego, dziesięcioletniego chłop-

ca, który lubił mnie i często podnosił w górę z radosnym uśmiechem.

Następne obrazy to zabawy na podwórzu i moje rośnięcie razem z nimi. A więc koziołki wywijane na sztendrze czyli na stojaku do trzepania chodników. A więc gonitwy, gra w chowanego, potem w szklane kulki i bejmy, czyli rzucanie monet o ścianę. Potem już drużynowa gra w złodziei i policjantów. I inne drużynowe gry, także ze śpiewami: „Budujemy mosty”, „Kto się boi czarnego luda”. To wszystko z wrzaskiem, z krzykami, które nie przeszkadzały nikomu z wyjątkiem starej gospodyni, mieszkającej zresztą najdalej, w specjalnym mieszkaniu parterowym tylnej oficyny, z oknami wychodzącymi na znajdujący się za tą oficyną ogród, którego nie widziałem nigdy w życiu.

Gospodarz albo gospodyni wychodzili czasem na podwórze wygrażając pięściami. Byli to spolszczeni Niemcy, najprawdopodobniej pochodzili z tych bambrow, którzy stali się poznańskimi patriotami. Pierzchałiśmy na ich widok do klatek schodowych i do „wrót” wołając: „Ele mele dudki, gospodarz malutki, gospodyni garbata, a jej córka smarkata”. Czasem sami prowokowaliśmy taką scenę. Ktoś z najodważniejszych podchodził cichaczem przez szeroką bramę pod drzwi gospodarza, pukał w nie i uciekał.

Spłoszeni z podwórza, bawiliśmy się po cichu w korytarzach ciemnych piwnic, które nie miały okien i ciemnica w nich panowała idealna. Gdy byłem mniejszy, słyszałem czasem w tej ciemnicy tylko dziewczęce chichoty. Gdym już zaczął chodzić do szkoły, wiedziałem, co trzeba czynić w piwnicy, mając blisko siebie dziewczynkę. Zbliżywszy się do Reginy Grześkowiakówny lub Irenki półniemowy, sięgałem pod sukienkę i wodziłem ręką między nogami dziewcz-



czynki, wcale nie rozumiejąc po co i nie pojmując, co tu jest do chichotania. Ale miało to ostatecznie sens nie gorszy niż te różne mętowania czyli wyliczanki, jak na przykład: „Raz-dwa-trzy, ty masz wszy, a ja nie, ty masz dwie na łbie”.

Dziś z perspektywy lat najbardziej urzekają mnie widoki podwórza, oglądane przez małe okienko półpiętra. Na niskim parapecie tego okienka zasiadałem do zabaw z Wandą Żytkowiakówną z pierwszego piętra (córką Wolniewiczki, która miała drugiego męża, strażaka) lub Irenką Jencykówną, mieszkającą tuż obok nas na trzecim piętrze.

Pamiętam, tam daleko na dole odzywało się nagle znajome klepanie. Odwracałem się szybko, jak na umówiony sygnał. Życie podwórza wydawało mi się serią obrazów przeznaczonych dla moich oczu — jak film. Nie wolno było dopuścić do tego, by toczyło się bez celu, nie oglądane przeze mnie. Wierzyłem, że zaczyna się z chwilą mojego wejścia na półpięterko, a kończy się wraz z moim powrotem do domu. Choć czasem bywało odwrotnie: życie podwórka dawało donośny sygnał i wtedy musiałem bezwzględnie wyjść z domu, by podsycać je swoim patrzeniem. A klepanie? To stary bednarz klęczał na ziemi w swym szarym, podartym ubraniu, schylony nad balią ze świeżych, białych klepek i przesuwając małą deseczkę z miejsca na miejsce, obstukiwał ją dużym, drewnianym młotkiem. Długie, siwe wąsy kołysały się po obu stronach dobrotliwie pogodnej twarzy, a czapka rytmicznie opadała daszkiem na czoło tak, że stukający raz po raz musiał przerywać robotę, by zsunąć czapkę na tył głowy.

Gdy staremu bednarzowi zabrakło czegoś, szedł do swego warsztatu. Kierował się ociężałym krokiem ku blaszanemu daszkowi. Pod daszkiem były rozchylone



drzwi, za którymi biegly schody w dół, do piwnicy. Tam to mieścił się pełen tajemnic warsztat bednarski. Zakurzone, strzegące tajemnic okna wychodziły na obmurowane zagłębienie podwórza, zabezpieczone żelazną poręczą.

Cóż jednak dzieje się teraz? Oto spod daszka bednarskiego warsztatu wychodzi syn bednarza z garścią wiórów w ręce. Był to chłopak wysoki i kościsty, miał na sobie kusą marynareczkę i przykrótkie spodnie, sięgające powyżej kostek, a na głowie taką samą jak ojciec czapkę z daszkiem.

Młody bednarz podszedł do odwróconej do góry dnem beczki, która opodal trzepaka stała na ułożonych ceglach. Nachylił się głęboko i zgnieciony pęk białych, drewnianych wiórów wsunął pod beczkę. Potem przyklęknął na jedno kolano, zapalił zapalkę. Po chwili kłęby biało błękitnego dymu zaczęły wypływać leniwie spod beczki i powoli wznosić się w ciasną studnię podwórka. Dym pełzał po ziemi, lizał mury i piał się po nich.

Działo się na podwórzu jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy, lecz równie frapujące było jego najbliższe otoczenie. Przede wszystkim podwórze sąsiadowało z „wrotami”. Co prawda jeszcze bardziej od wrót frapującym miejscem było sąsiednie podwórze, lecz oddzielone zostało dwiema drewnianymi bramami i zapuszczanie się tam należało do zupełnych rzadkości.

Nazwa „wrota” bynajmniej nie dotyczyła samych wrót, czyli olbrzymiej drewnianej bramy, zamykającej wjazd z ulicy do dwóch sąsiadujących z sobą posesji nr 69 i 71, lecz nie zabudowanej przestrzeni między frontowymi skrzydłami tych posesji, przez którą wóz z węglem lub drewnem opałowym mógł wjechać w jedno lub drugie podwórze. Na zabawę w tej wąs-

kiej uliczce, ograniczonej dwoma wysokimi murami bez okien, mówiło się: „bawić się we wrotach”.

Ponieważ teren we wrotach opadał nieco od ulicy do podwórza, więc nadawał się do gier i zabaw. Współzawodnicząc tam kiedyś w rzucaniu wielkim kamieniem, opuściłem go sobie na stopę. Bolało jak palenie ogniem. Kuracja trwała długo, zlazły mi wszystkie paznokcie.

Lecz przede wszystkim wrota, ponieważ nie było w nich okien, nadawały się do gier w piłkę i w klipę. Piłki były oczywiście szmaciane. Klipę i należący do niej sztekel wystrugiwał sobie każdy w domu z drewna opałowego. W ogóle nie znaleźliśmy gotowych zabawek. Do zabawy w kulanie obrączki służyły na przykład stare obręcze z beczek. Wózek montowało się ze skrzynki i kółek różnego rodzaju, nie wyłączając kolejowych kółek z poboczy torów, na których naciągnięte są druty. A bywały i takie nawet wózki, którymi po asfalcie zjeżdżało się z pochyłej ulicy Spokojnej prosto na szyny tramwajowe. Lalki ze szmat wykonywały dziewczęta lub ich matki. A w ogóle zabawkę stanowił każdy odpadek, z którego dało się coś zмайstromać. Do najidealniejszych należały drewniane szpulki po niciach, pudełka od zapalek i od pasty do obuwia, stare sznurki i tak dalej. Na przykład dwa blaszane pudełka po paście, z odpowiednio zrobionymi otworami, połączone długim szpagatem, stanowiły znakomity telefon. Nawet najdłuższy szpagat — odpowiednio naciągnięty — przewodził fale głosowe, jeżeli po drodze nie dotykał niczego.

Osobny rozdział na podwórzu stanowiła gemyła, czyli śmietnik. Był to duży, murowany pojemnik z blaszaną klapą do zamykania i z żelaznymi drzwiczkami do wydobywania zawartości. Opróżnianie śmietnika zdarzało się rzadko, bo praktycznie wrzucano do niego

tylko popiół z pieców. Liczne odpadki spalało się w domu, przydawały się nawet na podpałkę. Opakowania szklane i blaszane zbierało się do domowych potrzeb. Obierzyny z warzyw i kartofli odkładało się dla górczyńskich gospodarzy, których synowie przychodzili z workami. Śmietnik nie był więc szczególnie niehigieniczny. Dlatego rodzice nie gorszyli się zabawami przy tym obiekcie. Ba, pamiętam okoliczności, gdy stawał się on centralnym punktem życia społecznego nie tylko mieszkańców kamienicy, lecz i sąsiedztwa. Służył mianowicie jako scena.

Działo się to chyba w dwóch, trzech pierwszych latach po wyzwoleniu Polski, a więc w latach 1919—1921, gdy radość z możliwości nieskrępowanego posługiwania się językiem ojczystym i porozumiewania się na płaszczyźnie narodowej osiągnęła swój zenit. Pamiętam kilka samorzutnych festynów, połączonych z przedstawieniami: jeden na naszym podwórzu, u Gensleroków (od właściciela kamienicy Genslera), drugi u Hazoków (właściciel Haze, też Niemiec), czyli za wrotami, inny jeszcze w podwórzu bliżej śródmieścia, chyba tam, gdzie Babst miał piekarnię.

Na śmietniku rozkładało się drewniane boki konnego wozu, poszerzając tym powierzchnię sceny. Dekorację malowano na rozłożonych pudłach kartonowych. Na rozpiętym między tymi dwoma drążkami drucie wisiała kurtyna z prześcieradeł. W ogóle kurtyna była w tym wszystkim najważniejsza, ważniejsza od całego spektaklu. Kostiumy przygotowywali sobie ci, którzy występowali jako artyści. Całe podwórze udekorowane było lampionami i sztucznymi kwiatami, rozwieszonymi na sznurkach. Przedstawienie było chyba składanką skeczów, monologów, piosenek, tańców. Wśród instrumentów muzycznych pamiętam grzebienie, pokrywki, kocioł do gotowania bielizny, bo o prawdziwych



instrumentach nikt nawet nie marzył. Po spektaklu odbywała się zabawa taneczna. Pobierano nawet niewielką opłatę za wstęp, przeznaczając dochód na zbożny cel, jakim była działalność Towarzystwa Czytelń Ludowych, symbolizującego polskie trwanie. Na ten cel szedł dochód z loterii fantowej, na którą zbierano fanty już dwa tygodnie wcześniej. Szczęście w takiej loterii polega przede wszystkim na tym, by nie wygrać tego, co się samemu złożyło.

Teatr amatorski towarzyszył mi przez kilkanaście lat życia. Do repertuaru zabaw domowych należały różne przedstawienia i jasełka, podobne zupełnie do tych, które oglądało się w salce parafialnej obok kościoła albo w auli szkolnej, a w których siostry moje występowały jako anioły. Duchem przedstawień domowych, ich twórczynią i reżyserem była Irena, najmłodsza siostra. Prócz jasełek tworzyła ona, na przykład, inscenizacje najpopularniejszych bajek i piosenek. Jeden z pokojów stanowił widownię, drugi scenę. Zawieszona na drzwiach kapa z łóżka stanowiła granicę między światem widzów a światem aktorów, a zarazem kurtynę. Najtrudniejszą sprawą było zawsze zwerbowanie widzów, bo do tej roli pozostawali już tylko rodzice.

Pamiętam, musiałem mieć około piętnastu lat, bo grałem już wtedy na skrzypcach, gdy występowałem na scenie salki parafialnej podczas przedstawień, organizowanych przez grupę ministrantów. Sam, co prawda, ministrantem nie byłem i dopiero w seminarium nauczycielskim musiałem odrobić swoją dolę przy ołtarzu, lecz wciągali mnie do tej salki bracia Jędrzejczakowie: Czesław i Ludwik. Ten ostatni zawsze był blisko kościoła i do dziś pełni honorowo funkcje zakrystiana. Gdym w toku swych studiów rodzinnych chciał kupić zdjęcia kościoła Matki Boskiej Bolesnej na Łazarzu, natknąłem się na niego i od niego właśnie



je nabyłem. Ale wracając do wspomnień, tamte przedstawienia były też przeważnie składankami, złożonymi głównie ze skeczów. Nie zapomnę jednego z nich. Występowałem przed sądem jako niemowa, który na pytania sędziego odpowiadał melodiami granymi na skrzypcach. Nauczyliśmy się tego skeczu z płyty gramofonowej.

Jeżeli chodzi o życie „artystyczne” podwórza, to miało ono i swe codzienne przejawy. Największą atrakcją bywał wędrowny kataryniarz. Noszoną na plecach katarynkę, przytroczoną szerokim pasem, stawiał na ruchomej nodze i kręcąc korbką dobywał z instrumentu parę melodii operetkowych. Był jeszcze radośniej witany, gdy towarzyszyła mu bujająca się na drążku papuga albo siedząca na jego barku małpka. Zwierzę ciągnęło wygrane, to znaczy pierścionki, grające koguciki i tym podobne albo horoskopy.

Częściej od kataryniarzy pojawiali się wędrowni śpiewacy. Jednych lubiło się mniej, innych bardziej. Pamiętam takiego rzekomego niewidomego (bo tych rzeczy nigdy nie wiedziało się na pewno), któremu towarzyszyła dziewczynka, może dziesięcioletnia. Czy to nie była moja pierwsza miłość? Chodziła po podwórzu i zbierała rzucone z okien monety, koniecznie zawinięte w papier. Śpiewała zawsze jedną z piosenek razem ze swym podopiecznym. Słuchałem ze wzruszeniem jej dziecięcego głosu, z przejęciem wpatrywałem się w jej drobną twarzyczkę i współczułem temu dziecku, i zazdrościłem mu podwórkowych sukcesów. Może bardziej zazdrościłem? Poszedłbym z nią na koniec świata. Marzyłem sobie, by na mnie ludzie czekali w oknach kamienic, jak na nią.

Do wędrownych atrakcji podwórka należeli też rzemieślnicy i handlarze. Ich okrzyki i wołania rozbrzmiewały po kilkanaście razy dziennie.

- Szmaty skupujęęę!
- Flaszki! Flaaaszki skupuuuuję!
- Węgle! Węęęgle!
- Garnki drutuję!
- Noże! Nożyycyki! Oostrzę!

Ten nosił z sobą worek na plecach, ów skrzynkę z narzędziami. Niektórzy mieli ręczne wózki własnej roboty. A gdy węglarz wykrzykiwał swoje na podwórzu, przed domem na jezdni stał jego ładowny wóz zaprzężony w konia. Jeżeli ktoś zamówił u niego węgiel, węglarz wystawiał wagę dziesiętną, napełniał duży kosz czarnym towarem, zarzucał brzemię na plecy i niósł, gdzie trzeba. Ostrzyciel stawiał na podwórku kołowrotek, poruszany pedałem, i zachęcał do korzystania z usług śpiewem syrenim, dobytym za pomocą metalowego pręta, wibrującego na wirującym kamiennym kole.

To były moje pierwsze przeżycia artystyczne i pierwsze kontakty z szerokim światem. Wyprzedzały je tylko domowe pieśni i bajdy. Domokrażcy to byli aktorzy na scenie podwórka. Kataryniarze i śpiewacy — soliści muzyczni. Podwórkowy festyn — pierwszy musical. Chodzili też przecież i sztukmistrze, choć o wiele rzadziej. Popisywali się gimnastyką akrobacyjną i iluzją. To był mój pierwszy cyrk. A wszystko razem stanowiło pierwszy świat wzruszeń wyższych, bo bezinteresownych. Czy ten prymitywizm formuły artystycznej nie pokutuje do dziś w mej duszy? Wydaje mi się, że tak. Przyznaję się, że wciąż jeszcze uwielbiam cyrk.

Najbardziej uduchowioną, pełną patosu postać owego czasu spotykałem na ulicy i to jedynie na Głogowskiej, na odcinku od ówczesnego Odskoku (przy poczcie obok dworca zachodniego) do ulicy Jeskego, inaczej mówiąc Niegolewskich. Niestety, tu znowu nazwa nie-

miecka, ale też postać stanowiła relikw z niemieckich czasów. Był to Rosenkavalier.

Rosenkavalier był chudym, wysokim mężczyzną, którego dziś chce mi się porównać z Don Kichotem. Ubierał się w czarny surdut i wąskie spodnie, sięgające zaledwie kostek. Na nogach nosił spiczaste półbuty. W butonierce tkwiła nieodłączna róża. Ziemista twarz promieniowała uduchowieniem, jakby jej właściciel pozostawał w stałej ekstazie. Chodził też ten człowiek krokiem lunatyka. Było w nim coś wzniosłego, napawającego lękiem, lecz zarazem i komicznego. Można by go traktować jako pierwowzór Charlesa Chaplina. Najważniejszy jednak rekwizyt związany z postacią Rosenkavaliera to pudełko z różami, które niósł przed sobą w dłoniach na wysokości piersi.

Nie mogę sobie przypomnieć oczu tego człowieka, wydaje mi się, że miał je zwykle zamknięte albo przyknięte i poruszał się jakby po omacku, choć na pewno nie był niewidomy. Nie słyszałem nigdy jego głosu, lecz prawdopodobnie był nie rozumiejącym po polsku Niemcem i to stanowiło jakiś dodatkowy element tragiczności tej postaci z innej epoki. Nie widziałem też nigdy, by ktoś kupował od niego kwiaty. Lecz niewątpliwie jacyś kawalerowie musieli je kupować dla swych pańienek. Dla mnie był on i pozostał uosobieniem wszystkiego co wzniosłe. Symbolem podobnym do tego, jakim nieco później stał się Leon Puzicki.

Leona Puzickiego poznałem dopiero, gdy przyszedłem do seminarium nauczycielskiego. Uczęszczał on na któryś wyższy, chyba trzeci kurs. Ten muzyczny i poetycki geniusz zostałby na pewno artystą o sławie światowej, gdyby nie zmarł w wieku kilkunastu lat na gruźlicę. To moje mniemanie o nim potwierdził Jerzy Młodziejowski, jeden z autorów zbioru wspomnień



„Poznańskie wspominki 1918—1939”. Wymienia on Leona Puzickiego jako jednego z członków kwartetu, w którym grał między innymi Arnold Rezler. Musiał więc mój seminaryjny kolega uczęszczać równocześnie do konserwatorium muzycznego. I coś takiego sobie przypominam.

Leon Puzicki mieszkał — jak i ja — na Łazarzu, lecz nie mogę sobie przypomnieć, przy jakiej ulicy. Był pięknym, uroczym człowiekiem. Przepadałem za jego koncertami skrzypcowymi na uroczystościach i nabożeństwach szkolnych w auli przy ulicy Franciszka Ratajczaka oraz za wierszami, publikowanymi w naszym szkolnym pisemku „Życie radosne”. Wierszami zachwyciałem się, choć dziś już nie pamiętam ich klimatu. Wiem, że zazdrościłem ich poecie i marzyłem o tym, by pisać takie. A jego gra na skrzypcach wydawała mi się czymś niedoścignionym. Zresztą dla mnie stanowiła jakby syntezę poezji. Wzruszała wszystkich. Gdy Leon grał w niedzielę na mszy, stojąc obok fisharmonii, przy której siedział profesor Janusz Nowak, były momenty, że wszystkie oczy, w tym i oczy profesorów siedzących w dalekim pierwszym rzędzie, zwracały się na niego. Ksiądz Tadeusz Nowakowski wtedy marszczył gniewnie czoło, zwracając się do sali z *Dominus vobiscum*.

Gdy ochłoniąłem z oszołomienia na wieść o śmierci Leona Puzickiego, gdy minęło dni kilka od jego wspańskiego pogrzebu, doszedłem do wniosku, że tak wielki artysta nie mógł żyć, musiał umrzeć. Świat jest zbyt brutalny, zbyt okrutny dla duszy tak wzniosłej i subtelnej. Toteż zazdrościłem mu jego pięknej śmierci w pełni chwały. Gdy o nim myślę, widzę go idącego ścieżką w ogrodzie botanicznym (w późniejszym Parku Wilsona, dzisiejszym Kasprzaka). Rozmawiałem z nim wte-



dy o tym, dlaczego nie chodzi do szkoły i dowiedziałem się, że po leczeniu w szpitalu przebywa na rekonwalescencji.

To była ostatnia moja rozmowa z Leonem Puzickim. I na to wspomnienie budzi się we mnie bunt i mówię sobie, że okrutne są tajemne siły zaświatów, jeżeli mogą zniszczyć formę życia tak wspaniałą i bujną. A swoją drogą — odwracając tok myślenia — ilu mielibyśmy wielkich ludzi, gdyby sama struktura psychofizyczna artysty nie była często tak krucha i wiotka?

## Z mamą

Wyciągam swoje małe rączki, biegnę do ciebie po twardych płytach chodnika ulicy Głogowskiej w dobrotliwym cieniu wysokich wiązów, bez których świat mój nie mógłby istnieć jako całość. A ty pochylasz się i też wyciągasz swoje ręce, a gdy spotykają się z moimi, podnosisz mnie i tulisz do swych piersi. A potem stawiasz mnie z powrotem na chodniku, z brązowej portmonetki wysupłujesz jakieś fenigi i podajesz mi je. A ja z nimi biegnę do sklepiku pani Borakowej w naszej kamienicy. Małe okienko wystawowe i oszklone drzwi, dzwoniące przy otwieraniu, aby kupcowa słyszała tam, na zapleczu.

A gdy wchodzę, otwiera się przede mną tajemniczy świat jadalnych cudowności, choć nie tylko jadalnych, bo nieodparcie ściąga moją uwagę duża beczka metalowa, pachnąca naftą, wyposażona w ręczną pompkę ze szklaną miarką. Lecz najbardziej przyciągają ku sobie wzrok duże szklane słoje z karmelkami, każdy z innymi, aż trudno wybrać. Tymczasem jednak pani Bora-

kowa tłustą ręką wprawia w ruch ową pompkę i szklana miarka napełnia się żółtym strumieniem nafty, który spływa w mgnieniu oka do butelki.

Słoje z karmelkami stoją rzędem na przestronnej ladzie, nakrytej niebieską ceratą. Zawartość każdego błyszczy inną barwą. W jednym tłoczą się kwadratowe płytki miodowe, w drugim takiego samego kształtu płytki czerwone, posypane siwym makiem, w następnym żółte plasterki cytrynek, w dalszym malinki i jeszcze dalej czarne „na kaszel”, zielone agreściki, białe fasolki i inne, których barwy, kształty i smaki są nie do pojęcia. Każdy kolejny słoje przykryty ciężką pokrywą z grubego szkła. Gdy podaję swój miedziany fenig, pani Borakowa spogląda mi pytająco w oczy. Szepczę nieśmiało:

— Miodowych.

Kupcowa otwiera pokrywę i z suchym grzechotem nabiera karmelki błyszcząca, blaszaną szufelką. A potem na moją rączkę sypią się cztery złociste kwadraciki.

Najsmakowitszy jednak jest czerwony cukier. Pełno go w wielkim, kamiennym garncu, stojącym w kącie dużego pokoju, między szyfonierką a ramą drzwiową. Garniec jest przykryty drewnianą pokrywą i białą szmatką. Cukier w nim wilgotny i zrudziały jak zarzewiałe żelastwo. Mama używa go do wypieków i gotowania, do smażenia marmolady z jabłek, a czasem i do słodzenia mlecznej kawy, choć do tego raczej służą bielutkie pastylki sacharyny.

Do garnca nie było łatwo się dostać. Tylko niekiedy, gdy na krótki czas zostawałem sam w domu, z bitem serca zdejmowałem białą szmatkę i drewnianą pokrywę, by zaczerpnąć szczyptę rudych kryształków. Smakowały inaczej niż biały cukier. Ich słodycz zaprawiona była cierpkim, lecz miłym smaczkiem, przypo-

minającym jakby spaleniznę. Było to smaczniejsze od wszelkich słodczy, zwłaszcza gdy po kryjomu zdobyte. Dziś wiem, że w okresie rozruchu cukrowni tuż po wojnie, zapewne z powodu braku siły roboczej, sprzedawano część półproduktu, który nie szedł już do rafinowania.

Ze sklepu idziemy z mamą ulicą Głogowską i przy niej wszystko na tej ulicy jest jeszcze ciekawsze i piękniejsze niż zazwyczaj. Tu sklep z cukierkami, a przez szybę widać śliczną panienkę, którą raz tylko spotkałem na ulicy i wtedy dowiedziałem się, że jest kulawa. Ach, jak mi jej było żal!

A po drugiej stronie ulicy, nad mroczną witryną wisi tajemniczy zegar, często wspominany w domu. Gdy zaistnieje jakaś wątpliwość co do prawdomówności domowego zegara ściennego, wtedy zawsze pada pytanie:

— A która godzina jest u Własnego?

Wtedy czasem posuwa się wskazówkę zegara kołyszącego błyszczącym wahadłem.

Chudy pan Własny wyszedł akurat ze swego sklepu i wita się z podchodzącym do niego fryzjerem w białym fartuchu. Idą teraz razem i mijając sklep z kapełuszami zbliżają się do fryzjerni, nad której wejściem pod podmuchami wiatru kołysze się złocisty, krągły talerz. A tuż obok, na samym rogu ulicy Spokojnej, wielkie szyby drogerii kuszą butelkami, puderkami, pudełeczkami, z których zapewne wydzielają się te uchodzące otwartymi drzwiami urzekające zapachy.

Dlaczego tak wcześnie zacząłem uciekać z domu? Jak to się stało? Jak do tego doszło? Kiedy nastąpiła moja pierwsza ucieczka? Ile miałem wtedy lat? Prze-

cież byłem zupełnie malutki i w towarzystwie dziewczynek bawiłem się jeszcze lalkami.

Jencykowie mieszkali na trzecim piętrze, tak jak my i tak jak my mieli okna wychodzące na ulicę. Nasze kuchnie sąsiadowały ze sobą przez ścianę. Gdy wychyliło się głowę oknem, można było czasem ujrzeć w najbliższym oknie głowę Jencykowej albo Irenki. W ich mieszkaniu nigdy nikt z nas nie był, Jencykowie żyli w oparach jakiejś nieodgadnionej tajemnicy. Z Irenką Jencykową spotykałem się — jak i z Wandą z pierwszego piętra — na półpięterku po drodze na strych. Wtedy zresztą ona była mi bliższa od Wandy, spotykaliśmy się z nią częściej.

Tego dnia bawiliśmy się, jak zwykle, na parapecie niskiego okienka. Pamiętam dobrze ten dzień. Podawałem mojej przyjaciółce lalkę, gdy nagle któraś z sióstr zawołała mnie do domu. Wykrzyknąwszy moje imię, zamknęła drzwi.

Zacząłem iść po schodach w dół. Stałem pod drzwiami mieszkania. Brązowa płaszczyzna, opatrzona metalową tabliczką z nazwiskiem i skrzynką na listy. Nagle zapragnąłem odejść od tych drzwi, które wydały mi się ni stąd ni zowąd więzieniem, klatką, czymś nienawistnym. Nie mogę sobie jasno uświadomić, jak to się stało i co mną kierowało. Skoczyłem ku schodom, pochwyciłem szczebel poręczy i zacząłem zbiegać na dół tupiąc trzewikami w metalowe listwy. Na drugim piętrze usłyszałem zdziwiony głosik Irenki, która jeszcze nie zdążyła wejść do swego domu. I zaraz w następnej chwili przeciągłe wołanie, takie samo jak przedtem:

— Leonaaard! Do dooomu!

Pierwsze piętro, parter i oślepiło mnie światło ulicy. Zacząłem biec. Bez namysłu przemierzyłem jezdnię, dopadłem asfaltu ulicy Spokojnej. Pokonywałem ją.



Wiedziałem, że tym razem na jej końcu, jakby na szczycie, czeka mnie zwycięstwo. Wyspiewywałem w sobie wszystkie daremne wołania domowników: Do domuuuuuuu! Do doooooomu! Oglądałem w wyobraźni zaaferowane miny szukających mnie, rozbiegających się po całym Łazarzu sióstr. Uśmiechałem się do tych wyobrażeń. Cieszyło mnie to, że będą mnie tak szukali. Pośpieszałem z tym większym zapałem. Uciekałem od nudy domu, od płaczu matki, od czego jeszcze? Równocześnie szarpała moje serce pamięć ciepłego pieca, słońca wpadającego do pokoju i piosenki śpiewanej w takt podrygiwania na matczynym kolanie:

Jedzie pan na koniku sam, sam, sam  
sługa za nim ze śniadaniem  
patataj, patataj, patataj!

Dobiegłem do końca ulicy i stanąłem przed ogromnym gmachem szkoły, rozsiadłej kilkoma gmachami wśród drzew za parkanem. Powrót do domu był w tamtym czasie rzeczą nieuniknioną. Na szczęście miałem przyjaciółki, z którymi przeżywałem swe skryte radości.

Była Wielkanoc. Płachtę starej gazety niosłem w obu rękach. Mama kazała mi położyć ją na okiennym parapecie, żebym nie pobrudził czystego ubranka. Szedłem cichutko na palcach i trzymałem papier delikatnie, by nie wypadł z niego prezent. Na górze wyjąłem z niego żółty, pulchny kawałek piaskowej babki. Oddarłem trochę papieru, położyłem go na środku parapetu i umieściłem na nim ciasto. Resztę arkusza rozpostarłem na boku i usiadłem na nim.

Zagwizdałem. Umówiłem się z Irenką na „po święconce”, ale nie było mowy o prezentach. Serce biło mi niespokojnie. Ciekaw byłem bardzo, jaką minę zrobi

Irenka zobaczywszy niespodziankę. Gdy zagwizdałem jeszcze raz, po chwili wyszła z domu. Wyglądała ślicznie. Miała na sobie niebieską sukieneczkę z falbankami, na której błyszczał gładki, biały fartuszek. Na zgiętym ramieniu niosła dwie szmaciane lalki, te jej stare lalki z oczkami zaznaczonymi poślinionym kopiowym ołówkiem i ze śladami warg z buraczanego soku. W drugiej ręce trzymała czerwone jajko. Pomyślałem, że może to też prezent, ale nie śmiałem zapytać.

Weszła po stopniach na górę, zbliżyła się do okna. Uśmiechnęła się tak jakoś inaczej niż zwykle, spojrzała na leżące ciasto i zapytała:

— Przyniosłeś babkę?

— Tak, prezent dla ciebie.

— A co to jest prezent? — spytała, lecz nie czekając na odpowiedź, przeniosła wzrok na swoją pisanekę, a potem znów na mnie. Nie powiedziała nic, więc zapytałem:

— A ty przyniosłaś jajko?

— Tak. Masz, weź, to dla ciebie.

Wstałem prędko, odebrałem jajko z jej rąk i położyłem na oknie. Następnie pochwyciłem ciasto i podałem jej. Wzięła szybko i zaczęła podskakiwać w miejscu, to zginając, to prostując kolanka.

— Mam zjeść? — zapiszczała.

— Zjedz — zezwoliłem. — A jajko zjemy razem na końcu.

Posadziła lalki na parapecie i natychmiast ugryzła ciasto, smakując je długo w ustach. Poczułem się szczęśliwy i prawdziwe święto zapanowało we mnie dopiero teraz. Więc przedarłem gazetę na dwie części i rozłożyłem je po obu stronach okna. Następnie posadziłem lalki w środku, a sami siedliśmy w kąciakach. Na papierku obok lalek ułożyliśmy resztę ciasta i jajko.

— Wiesz co? — zawołała Irenka. — Będziemy się bawili w gości. Ja będę gospodynią, a ty gościem. I lalki też gości.

Zaskoczyła mnie tą propozycją. Nie odpowiadałem, więc pociągnęła mnie za rękę i sprowadziła po schodach na piętro. Pouczała, co trzeba robić. Potem sama wbiegła szybko z powrotem na górę i tam krzątała się z poważną miną.

Podszedłem kilka stopni w górę, na przedostatnim zatrzymałem się i zapukałem w drewnianą poręcz schodów jakby w drzwi. Irenka stanęła nieruchomo, poprawiła włosy i fartuszek, wreszcie zawołała:

— Proszę!

Powiedziawszy to, zbliżyła się do mnie.

— Dzień dobry — odpowiedziałem, wchodząc z ostatniego stopnia na półstryszek.

Ceremoniał gościnny toczył się dalej. Opowiadaliśmy sobie nawzajem o domowej święconce. O dzieleniu jajkiem, o jedzeniu kielbasy i jajek. Nagle ona ożywiła się, jakby się jej coś przypomniało. Dotknęła jajka i ciasta, które leżały na gazecie. zaproponowała:

— Poczęstuj się, bo ty jesteś gościem.

Jedliśmy, jadły także lalki. Smakowało o wiele bardziej niż w domu. Gryźliśmy na zmianę, a Irenka przykładła babkę również do buraczanych ust lalek.

Po jedzeniu przyszała pora na odpoczynek. Rozsiedliśmy się wygodnie na niskim parapecie. Lecz wtedy zapiszczały w zawiasach drzwi naszego domu i rozległ się głos:

— Leonard, do domu!

Trzeba było iść. Skorupki jajka zostały na parapecie. Podnieśliśmy się z ociąganiem. Irenka podeszła do mnie z uśmiechem i wyszeptła:

— Musimy się pocałować na do widzenia. Nie widziałeś, jak się ludzie całują?



Widziałem. I mnie całowano. Zawsze jednak z obrzydzeniem ścierałem z ust ślady pocałunków ciotek i wujów. Teraz nadzieja pocałunku wydawała mi się obietnicą czegoś radosnego.

— Dobrze — wyszeptalem.

Zbliżyliśmy się, przytulili, objęli ramionami. Dotknąłem ust przyjaciółki i ich wilgoć napełniła mnie nie znanym dotychczas dziwnym pragnieniem.

— Do widzenia — powiedziała.

Stałem bezradnie.

— Do widzenia, Irenka. Jutro zagwizdaj na mnie.

## Wokół domu

Tego popołudnia bawiliśmy się w piasku z Wandą i Irenką. Łąka rozciągała się po przeciwnej stronie ulicy Głogowskiej. Pierwsza jej część była piaszczysta, pełna dołów i urwisk, dopiero mniej więcej od połowy, bliżej ulicy Klonowicza teren wznosił się i tam łąka była prawdziwa, porośnięta rdestem i innymi chwastami, a także trawą. Każda z tych dwóch części miała swój odrębny urok i stwarzała ogromne możliwości organizowania zabaw.

Tego popołudnia bawiliśmy się we frontowej, piaszczystej części, w jednym z dołów. A była to zabawa w sklep albo — jak to się mówiło w Poznaniu — w skład. Wanda stała na dole jako sprzedająca. Miała wagę z patyka i szpagatu, z szalkami zrobionymi z pudełek po paście do obuwia. Na deszczulce stały ugniecione z gliny bochenki chleba, bułki, kiełbasy i inne towary, a ponad nią kupeczki piasku o różnych kolorach oznaczały cukier, mąkę, sól, kaszę. Były i cukier-

ki z kamyczków, odłamków cegieł. Z Irenką schodziliśmy na dół do składu z kolorowymi szkiełkami ze stłuczonych butelek, uzbieranymi na skraju łąki pod narożną kamienicą. Kupowaliśmy ważony nam przez Wandę towar, płacąc swoimi pieniędzmi, witając się i żegnając ze sprzedawczynią z zachowaniem należącego ceremoniału. Moja matka i siostry wołały mnie zachęcać do zabawy z dziewczynkami, zapewne w obawie, bym nie zaczął łobuzować się, tak jak mój starszy brat, który chadzał swoimi, sobie tylko znanymi ścieżkami, nie dając się ująć w karby.

Gdy zgodnie ze sprawiedliwą koleją rzeczy sam zostałem sprzedawcą, wtedy w głębi swego handlowego królestwa łaskawie zezwalałem na wejście Irenki i Wandy — zawsze pojedynczo — do składu. A ponieważ zgodnie z obowiązującą umową sprzedający grał rolę osoby dorosłej, a kupujący pozostawali dziećmi, więc musztrowałem odpowiednio klientki, wymagając grzecznego tonu powitań, próśb, podziękowań i pożegnań. Chwilami zaś zakazywałem wchodzenia. Dlaczego? Po prostu, żeby nie było stale jednakowo. Koleżanki wtedy siedziały nade mną w kucki, a ponieważ w owych czasach nie należało do zdrowego rozsądku ubierać dzieci latem w buciki czy skarpetki, ani odziewać dziewczynki w majtki, kontemplowałem z dołu widoki, odsłonięte przez krótkie sukieneczki.

Zawsze jednak nadchodziła chwila, gdy na skraju łąki z chodnika ulicy Głogowskiej dobiegał głos którejś z sióstr:

— Leonard, do domu!

Opieszale szedłem do wołającej. Kilkunastoletnie siostry były dla mnie osobami najpoważniej dorosłymi. Co prawda także chodziły bosy — czasem na gołe nogi wsuwały drewniaki o grubych podeszwach, pokry-

tych z przodu czarną skórką — ale im to nie odbierało autorytetu.

Musiał to być rok 1920, a ja dochodziłem do szóstego roku życia. Jedną z atrakcji tego lata było podchodzenie z siostrą do parkanu z malowanych prętów przy ulicy Wyspiańskiego, za którym z łąki widoczny był gmach z czerwonej i żółtej cegły, jakby strzeżony przez szereg sięgających najwyższego piętra włoskich topoli, bez przerwy poruszających błyszczącymi listkami. Gmach od parkanu oddzielony był obszernym dziedzińcem, wysadzonym kasztanami. W pootwieranych oknach szkoły wisiały różne szmaty, suszące się po praniu. Wychylali się przez nie jacyś ludzie w brzydkich koszulach. Niektórzy z nich, najczęściej chromi albo okaleczeni na różne sposoby, w takich samych koszulach, brudnych i pocerowanych oraz w różnego kroju spodniach wojskowych wychodzili z gmachu i spacerowali po dziedzińcu. Zbliżali się do parkanu i nawiązywali rozmowy z ludźmi gapiącymi się z ulicy. Mówili śmiesznie, obco:

— Daliby wy mnie cygarete.

Śmiałyśmy się z tej mowy i po to przede wszystkim chodziło się pod parkan, choć rodzice zakazywali, obawiając się jakichś gorszących scen, które ponoć czasami tam się zdarzały.

— Nie chodzić mi tam do tych kacapów — mówiło się w domu.

A czasem słychać było i szerszą motywację:

— Wielkopolskę to Piłsudski chciał sprzedać Niemcom, a teraz idzie tam gdzieś na wschód, majątki dla panów odbierać. A niech go cholera weźmie!

Chciałem bardzo zobaczyć raz tego Piłsudskiego na szkolnym dziedzińcu zamienionym w szpital, lecz nie ujrzałem go nigdy ani tam, ani gdzie indziej.



Kończył się mój „pobyt na dworze”. Trzeba było odejść i od rannych żołnierzy i od ogromnych koni Hartwiga, z wielką platformą zajeżdżających pod naszą kamienicę, gdzie w oficynie mieszkał ich woźnica Jędrzejczak. Ostatnie spojrzenie na jasnowłosą Irenkę i brunetkę Wandę. Senność widocznie przychodziła szybko, a sen nagle, bo nie pamiętam żadnych wieczornych zabiegów, nawet kolacji.

Tylko potem w środku nocy rozdarło me oczy nagle światło, zbudził krzyk. Nie było obok mnie mamy, z którą spałem w jednym łóżku. Przebudzenie było bolesne, lecz pojąłem wszystko w jednym momencie.

Takich doznań, jak tej nocy, nie miałem z pewnością zbyt wiele, pewne sceny rozgrywały się być może nie zawsze tak głośno, żeby mnie zbudzić, a może w ogóle wszystko zdarzyło się tylko raz lub dwa. Było to w okresie, gdy ojciec po wojnie wrócił na tramwaje, wychodził do pracy czasem przed świtem a czasem po obiedzie, wracał zaś do domu albo na późniejszy obiad, albo nocą. Widziałem oto, jak w swym siwym mundurze tramwajarskim unosił w górę krzesło mierząc nim w mamę, która cofała się w samej tylko koszuli nocnej, z rozwichrzonym włosom i wściekłością na twarzy.

— Ojczy! Co ojciec robi! — wrzeszczała Janka z łóżka.

W następnej chwili stała obok niego. Z drugiej strony Irena. Longina szła ku matce, stanęła przy niej, objęła ją ramieniem. Były równego wzrostu.

Moja broda trzęsła się i szczekałem zębami, sam nie wiem czy z nagłego zimna, czy z innej przyczyny. Przenosiłem wzrok z jednej koszuli na drugą, potem na tramwajarski mundur. Jaskrawe światło gazowej lampy raziło oczy. Mama wyrywała się z ramion mojej najstarszej siostry i krzyczała:

— Ty bandyto! Zabiję cię kiedy! Ogołocisz dom, zagłodzisz dzieci!

Pożar gniewu wygasł dość szybko. Powracała ciężka noc. Czulem znów przy sobie ciepło mamy. A potem gdzieś tam z wieży ewangelickiego kościoła przy ulicy Matejki zaczęły spadać dzwiczące krążki godzin i byłem pewien, że blaszany kogut na jej szczycie obraca się dookoła. I wtedy we śnie powracała łąka.

Wydawało mi się w tamtych czasach, że spokój domowego życia zakłócają jakieś złe duchy, bo o duchach dużo mówili dorośli, strasząc nimi małe dzieci i samych siebie nawzajem. Że spada na dom jakieś fatum, któremu ludzie nie mogli zaradzić, coś jakby ten smok, o którym opowiadano, a którego widziałem pod stopami świętego w grubej kolorowej książce z żywotami ludzi nagrodzonych niebem. Trzeba było wielu lat życia, licznych doświadczeń i klęsk, by zrozumieć, że domowy koszmar był jeszcze dalszym ciągiem owej wojny, którą pamiętam właściwie jako nieobecność ojca, jako listy od niego, czasem fotografię w mundurze, a rzadziej paczki z produktami żywnościowymi, wśród których bywało nawet kakao.

Ojciec zarabiał lichy, mama dorabiała w domu szyciem dla zakładów umundurowania. Po ziemniaki trzeba było urządzać całe wyprawy za miasto, na wieś, wózkiem zaprzężonym w najstarszą siostrę. Kawa brała się z kłosów, uzbieranych na podmiejskich polach. Łuskało się je rękami, by na podwórzu przedmuchałszy nad sitem ziarno z plew, upalić wreszcie na patelni. Zupę jakże często gotowało się na „kiszczonco”, to znaczy na wodzie z gotowania kiszek, za którą trzeba było stać na ulicy przed rzeźnikiem w długiej kolejce, niekiedy dwie, trzy godziny. Na chleb czekało się u piekarza jeszcze dłużej.

Rodzice nie mogli zgodzić się między sobą na temat gospodarowania lichym wspólnym groszem. To po prostu niedostatek dzielił ich coraz bardziej, w miarę jak rósł ich bunt przeciw codziennym brakom. Pięcioro dzieci wołało od matki jeść, a ojciec pogrążał się w ponurych myślach o przyszłości, które skłaniały go do oszczędzania „na czarną godzinę”, choć czarna godzina właściwie już nadeszła. Z drugiej strony gryzła go pamięć oszczędności wojennych, których plon w postaci pełnej walizy bezwartościowych banknotów i monet leżał pod łóżkiem jako straszliwe memento. Posądzając matkę o rozrzutność brał się kilka razy sam za prowadzenie gospodarstwa i wydzielał jej codzienne kwoty na wydatki.

Tak czy owak wzajemne pretensje rosły, a każdorazowa zmiana władzy domowej łączyła się z kataklizmem, podczas którego leciały w powietrze talerze i bryłki węgla.

Biedni, cóż mogli uczynić, gdy za pieniądze, warte poprzedniego dnia całej szynki, nazajutrz otrzymywało się bułkę? Drożyzna rosła, dewaluacja nie dopuszczała żadnych logicznych rozwiązań w domowych budżetach i tylko spryciarze robili majątki.

Zresztą po stabilizacji pieniądza, gdy 29 kwietnia 1924 roku na miejsce 1 800 000 marek wszedł 1 złoty polski, złudzenia pierzchły prędko i w sklepiku na parterze naszej kamienicy bez przerwy brało się towar „na książeczkę”, na której dług u sklepikarza rósł z każdym miesiącem.

A przecież pięcioro dzieci trzeba było też ubierać. Ten problem na szczęście matka rozwiązywała we własnym zakresie na maszynie do szycia, od której odchodziła jedynie do garnków, balii, miotły, żelazka, do owego tysiąca różnych robót domowych, wśród których najdokładniej pamiętam może częste szorowanie



na kolanach podłóg w kuchni i pokojach. Były to podłogi ułożone z surowych desek i w tamtym czasie nikomu w naszych sferach nie śniło się jeszcze o malowaniu ich na olejno. Nie było końca szyciu, cerowaniu, łataniu, przerabianiu, nicowaniu. Każdy materiał musiał być zużyty obustronnie. Młodzi dziedziczyli ubiór po starszych, taka żelazna reguła obowiązywała bezwzględnie. W rezultacie ja, jako najmłodszy, nie otrzymywałem nigdy niczego nowego i taki porządek rzeczy obowiązywał do końca mego pobytu w domu rodzinnym. Jeszcze gdy miałem 17—18 lat, chodziłem w ubraniu nicowanym lub przerabianym. Nosilem nie tylko po ojcu i bracie, lecz także po siostrach, bo ze spódnicy można było uszyć spodenki, a z innej niż dziś bieleziny damskiej albo ze starego prześcieradła — kalesony z klapą na tyłku, którą w ustępie, po opuszczeniu spodni, odpinało się z guzików i którą też rozpiął ojciec, gdy miał wymierzyć karę rzemienną dyscypliną. Po siostrach można było nosić i skarpetki, noszone zresztą jedynie w okresie od listopada do marca, bo przez cały pozostały okres chodziło się boso, kładąc obuwie na nogi tylko do kościoła. Dodam, że za chodzeniem boso tęskniło się przez całą zimę.

Matka więc dwoiła się i troiła, bo tylko ona mogła wypracować dla domu jakieś dodatkowe wartości, zarobki ojca jako konduktora tramwajowego były limitowane przez pracodawcę. Jej poczucie bezsiły burzyło nasz dom. W ten sposób rodzice niszczyli w zarodku to, czego szukali w codziennym kołowrocie. Matka buntowała się przeciw ojcu, bo chciała jak najlepiej. Zawsze zabiegała o najwyższą jakość życia w domu, lecz mogła ją realizować w niektórych tylko aspektach — pod względem porządku, czystości, higieny żywienia i tym podobne. Ojciec znów patrzył na ruinę tego wszystkiego, o czym jako sierota marzył od trzynaste-

go roku swego życia. A marzył o jasnym domu, dostatnim i radosnym. Wszystkie jego usiłowania rozlatywały się zawsze w jego rękach jak talia kart. Na taki okrutny czas trafił swoim życiem. Och, jak współczułbym później jego tragedii, gdyby nie to, że na tej swojej tragedii siał nasze, zamiast zacisnąć pięści i chronić nas od piekła uczuciowego. Pozbawił nas wszystkich domu. A dom mógł istnieć jasny i ciepły nawet w głodzie.

Ojczy, a może zgubiła cię pokora, z jaką przyjąłeś od losu swoje wejście do szeregów proletariatu? Dlaczego przyjąłeś jako karę fakt przynależności do klasy ludzi pracujących, choć cierpiących wyzysk, zamiast być z tego dumny, bo jest to klasa żywicieli? A potem zawsze z cichą zgodą wobec losu i z głośnym gniewem na nas budowałeś sobie i nam tę bezpieczną, małą sytość, która i tak zawsze była sytością na granicy głodu, lecz byłaby do zniesienia, gdybyś nie krasił jej awanturami. Przyjmowałeś los, buntując się przeciw jego skutkom, zamiast z honorem przyjmować skutki i pięścią wygrażać tym, co gotują ludziom złe losy. Nie, ty chodziłeś do kościoła skarżyć się Bogu, a twoja pięść spadała w końcu na nasze głowy.

Ja złorzeczyłem właśnie złu i choć mi to wtedy nic nie dało, ukształtowało jakoś inaczej mój światopogląd, tak że dziś mogę czuć się współtwórcą nowego losu Polski. I jestem dumny z owych dni, gdy zamiast iść i korzyć się przed kimś możliwym lub ważnym — tak jak mi to kazałeś pod groźbą zdechnięcia pod płótem — uciekałem z miasta, sprzed ludzkich oczu i włożyłem się po przedmieściach, by nikt nie pastwił się nad moim losem.

To był mój pierwszy uniwersytet proletariacki. Dwudziestoletni poeta i dziennikarz bez zatrudnienia, ale i bez potrzebnego wykształcenia, bezrobotny, nie rejestrowany. Siedziałem w ciągu dnia nad Wartą pod

Szelągim. A jak nie pod Szelągim, to gdzieś na Głównej czy w Dębinie. W nocy znajdowałem zwykle jakąś szopę przy budowie domu, by przespać się na deskach. Kiedy indziej nocowałem pod mostem Rocha, z nakrytą beretem cegłą pod głową, a gdy mnie zaboląły kości, szedłem na ławkę na plantach. Przecież i z tego jestem dumny, ojczu. Bo w rezultacie osiągnąłem w życiu więcej niż sam się spodziewałem. Gdybyście z matką doczekali wzlotów mojego życia, przecieralibyście oczy ze zdumienia i matka płakałaby z radości. Bo choć byłem i jestem skromnym pracownikiem polskiej kultury i oświaty, to jednak osiągnąłem może najwięcej, zarówno w pionie linii pokoleniowej, jak w poziomej linii mojego pokolenia Turkowskich.

Lecz wtedy... Pamiętam taki świt: słońce wschodzi zza horyzontu, a ja na Zielonych Ogródkach, tam opodal Garbar, siedzę na ławce i grzebię kijkiem w piasku. I nagle dwadzieścia groszy! Podniosłem je jak wróżbę szczęścia i odmuchałem z pyłu. Gdy tylko o szóstej otwarto sklepy, kupiłem trzy papierosy „Aromatica” po trzy grosze za sztukę. A o siódmej poszedłem do ogródka mlecznego przy ulicy Ogrodowej i tam za jedno pięć groszy dostałem bułkę, a za drugie pięć szklanek maślanki. Pozostał mi jeden grosz. Dałem go żebrakowi.

Czy to dziwne, że całe moje życie było buntem? I nie szkodzi, że na starość pozostał mi tylko bunt przeciwko memu własnemu życiu, a i przeciw moim przodkom, których odgrzebałem, żeby ich pokochać. Kocham ich za to, że żyją, tak jak inni kochają za to Boga. Rzucam im rękawicę za to, że wyznaczyli mi to życie w taki właśnie sposób, nie w inny. Choć i dziękuję im za to, że nie w inny. Bo życie w buncie jest piękne i godne człowieka.

Oczywiście wtedy na Zielonych Ogródkach czy przy



ulicy Ogrodowej mój bunt był buntem słabego, nie-  
dojrzałego człowieka. Pisałem wtedy takie wiersze:

Zagłodzić się na śmierć.  
Paść w tym bezkrwawym boju.  
Zakończyć raz nareszcie  
Te znoje dni bez znoju.

## Dwa złote

Co mnie skłoniło do uczestnictwa w sprzedaży wy-  
wieszek, przeznaczonych do nalepiania na szybach  
okien w dniu 3 Maja? Dziś już nie produkuje się tego  
rodzaju wywieszek, zastąpiono je znaczkami z różnych  
materiałów, loteriami i innymi formami wyłudzenia  
pieniędzy na cele społeczne. Tamte wywieszki były  
jak gdyby powiększeniami takich papierowych znac-  
ków, jakie jeszcze dziś przyczepia się do kłapy płasz-  
cza szpilką podczas ulicznych zbiórek pieniędzy. Miały  
one format zeszytu szkolnego, a drukowano je w róż-  
nych kolorach, przy czym każdy kolor odpowiadał innej  
wartości — od pięciu groszy do pięciu złotych. U nas w  
domu kupowało się wywieszki dziesięciogroszowe („po  
trojoku”), po dwie na każde okno. Były cztery okna,  
więc na Fundusz Towarzystw Czyteln Ludowych —  
na ten cel bowiem zbierano z okazji święta Konstytu-  
cji Trzeciego Maja — szło z naszego domu osiemdzie-  
siąt groszy. Była to dekoracja okien godna polskiej ro-  
dliny robotniczej. Cena wywieszek świadczyła jedynie  
o skali jej możliwości pieniężnych.

Rozprowadzaniem trzeciomajowych wywieszek zaj-  
mowali się ludzie społecznie aktywni, wywodzący się  
z inteligencji i drobnej burżuazji, czyniąc to oczywiście

honorowo i wysługując się przeważnie dziećmi z rodzin robotniczych, którym dawali za to od siebie drobne wynagrodzenie. Dzień Trzeciego Maja był wtedy największym świętem narodowym, uznanym przez wszystkich poznaniaków. Na naszej ulicy Głogowskiej sprawą tą systematycznie zajmowała się żona właściciela cukierni, położonej naprzeciw naszego domu. Pani Smoczykowa przydzielała każdemu chętnemu dziecku znaczki o wartości trzech do pięciu złotych, a kto po ich rozsprzedaniu przyniósł jej do cukierni rozliczenie, otrzymywał ciastko, zwane przez dzieci „szary-bary”. Były to najtańsze ciastka, wyrabiane przez cukierników z wszystkich resztek. Kosztowało ono pięć groszy, lecz stanowiło szczyt marzeń dziecka pochodzącego z domu takiego jak nasz, w którym takich luksusów nie kupowano, ograniczając się do domowych wypieków.

W poprzednich latach, zaraz po „wybuchu” niepodległości moje rodzeństwo zarabiała u pani Smoczykowej „szary-bary” sprzedając znaczki na TCL. Siostry przynosiły do domu po kilka tych ciastek i stąd znałem ich znakomity smak. Owego roku 1925 i ja poczułem się dojrzały do tej pracy. Ukończyłem przecież poprzedniej jesieni dziesięć lat, byłem już po pierwszej komunii, stanowiącej wtedy pierwszy krok do społecznej dojrzałości. Dodatkową i ważną zachętą był może fakt, że akurat przed rokiem wprowadzono w Polsce nową, stałą walutę. Na widok nowych grosików świeciły mi się oczy. Symbolizowały one w oczach dziecka jakiś odwrót od powojennego niedostatku, choć ten niedostatek trwał. Urzekła mnie tajemnicza wartość małych, błyszczących krążków. Pamiętałem jeszcze dawne, wojenne fenigi, za które kupowało się miodowe karmelki, a które znikły całkowicie w czasach, gdy zwykły bochenek chleba kosztował miliony.

Pamiętam, że pani Smoczyk potraktowała mnie życzliwie. Następnie nie pamiętam nic poza tym, że sprzedanie wywieszek szło mi tak samo trudno, jak wszystkie inne próby handlu, podejmowane później w moim życiu. Najprawdopodobniej okoliczny „rynek” był nasycony. Po prostu inne dzieci dotarły już wcześniej do tych domów, do których trafiałem.

Udało mi się zbyć około połowy tego, co mi powierzono i przez jakiś czas wahałem się, czy dokonać z żoną cukiernika niepełnego rozliczenia, czy też próbować jeszcze wyczynu dla mnie niemożliwego, to znaczy sprzedania reszty. Bałem się, że przy niepełnym rozliczeniu mogę nie otrzymać wymarzonego „szary-bary” a na dodatek pani Smoczykowa skrzyczy mnie za lenistwo.

Nikt nie mógł rozstrzygnąć trapiących mnie wątpliwości. Raz i drugi chciałem zapytać o to samą szafarkę, lecz gdy zajrzałem do cukierni, nie zastałem jej za kontuarem. W domu zawsze jako najmniejszego i najmłodszego zbywano mnie machnięciami ręki. Do dziś w pewnych momentach jestem przekonany, że moje sprawy osobiste nie są godne tego, by zaprzętać nimi czyjąkolwiek uwagę. Wtedy doświadczenie uczyło mnie w dodatku, że za stawianie pytań można zostać wyśmianym.

Na takich rozmyślaniach, rozterkach i wahaniach zeszły mi dni aż do wigilii 3 Maja, kiedy to ostatecznie mijał termin rozliczenia, wyznaczony właściwie do końca kwietnia. Ten dzień 2 maja 1925 stał się dla mnie dniem niemal historycznym. W mojej skołatanej głowie zrodziła się straszna myśl, że przecież pani Smoczykowa zanotowała sobie tylko moje nazwisko, które może się jej zagubić w powodzi innych, poza tym nie poznałaby mnie nawet wśród tylu dzieci ulicy Głogowskiej i sąsiednich ulic. Zresztą nie widziała mnie



nigdy poza cukiernią i w dalszym ciągu może nie wiedzieć, bo na ulicy bywa z pewnością bardzo rzadko. Pomyślałem na domiar złego, że gdyby zamożna żona cukiernika potrafiła mnie odnaleźć na podstawie swych notatek, uczyniłaby to chyba już wcześniej ze względu na miniony termin rozliczenia. W oknach wszystkich „porządnych Polaków” wisały nalepki i nikt nie mógł więcej sprzedać. Czyż więc moja sprawa z panią Smoczykową nie przebrzmiała?

W ten sposób stałem się złodziejem. Okradłem żonę cukiernika, której nazwisko ten fakt utrwalił w mej pamięci na pół wieku i pozostawi je w niej aż do śmierci.

Nie pamiętam, co zrobiłem z nie sprzedanymi wywieszkami. Byłem zdecydowany w razie dochodzenia grać rolę rozliczonego, udawać ofiarę pomyłki, popełnionej w wykazie leżącym na kontuarze cukierni. Pamiętam tylko ogromne zafascynowanie lśniącymi monetami, za które można było kupić wszelkie wspałałości. To były pierwsze moje własne pieniądze w życiu. Miałem coś poniżej dwóch złotych. Nosilem ten majątek przy sobie, trzymając bez przerwy rękę w kieszeni. Gdy znalazłem się sam w ustronnym miejscu, wyjmowałem monety i wpatrywałem się w błyszczący nikiel jak w najdroższy skarb, bacząc, by mnie nikt na tym nie przyłapał.

Udało mi się wszystko znakomicie i stało się to moją zgubą, bo zapewne na tej pierwszej kradzieży winienem być przyłapany, jeżeli miałem zostać człowiekiem o nieskalanej uczciwości.

Tego samego popołudnia 2 maja 1925 roku kupiłem sobie jedną pomarańczę. Kupiłem ją w najodleglejszym od domu sklepie i umykałem z nią okreśną drogą do ulicy Klonowicza, za naszą łąkę, gdzie spodziewałem się znaleźć swego najlepszego wówczas przyjaciela

Alocha — Alojzego Grześkowiaka, który potem zginął podczas wrześniowej kampanii 1939 roku. Na Alochu mogłem polegać w stu procentach, byliśmy sobie bezgranicznie wierni. Dzieliliśmy się z sobą wszystkim. Nie powiedziałem mu zresztą prawdy i pomarańcza uchodziła w jego oczach za owoc przyniesiony z domu, jednakże z zastrzeżeniem: „Nie mów nikomu, że się z tobą podzieliłem”. To zupełnie wystarczało między nami jako gwarancja dyskrecji.

Długo rozkoszowaliśmy się smakiem owocu, ukryci w jakimś kącie pod płotem ogrodu. Pomarańcze były przecież owocami „dla państwa”, podejrzanymi w rękach dziecka z rodziny robotniczej. Spływający więc po zdjęciu skórki sok sprawiał nam rozkosz zupełnie niezmierną. Odrywaliśmy cząstkę za cząstką i spożywaliśmy je z nabożeństwem. U Alocha miałem od tej pory dozgonną wdzięczność.

Nie pamiętam dokładnie, jak zużyłem resztę pieniędzy pani Smoczykowej. Najprawdopodobniej kupowałem cukierki. Może to wtedy wymyśliłem wuja z Ameryki? Po bankructwie wuja Józefa — brata mamy, który powrócił ze Stanów Zjednoczonych — koncepcja innego jeszcze wuja amerykańskiego była łatwa do utrzymania w gronie rówieśników, toteż używałem jej zawsze, gdy posiadałem coś niezwykłego. Na przykład któregoś dnia wyszedłem na podwórze z kawałkiem cynamonu w zębach, wyjętego matce z paczuszki. Dzieci dziwiły się temu smakołykowi, którego widocznie w ich domach nie używano, a ja rozповідаłem im, że „wuja z Ameryki” posiada właśnie fabrykę cynamonu i przysłał paczkę tego produktu.

Bezkarne kradzieże trzeciomajowa sprawiła, że później raz po raz podciągałem ojcu monety i bilety tramwajowe z jego konduktorskiej torby. Wisiała ona w drugim, tak zwanym dużym pokoju, tym z dwoma

oknami. Ojciec zajął do swojej dyspozycji drzwi po stronie tego pokoju. Na wkręconym w nie haczyku wieszał swój służbowy mundur i torbę, która kusiała i zarazem napełniała trwogą, bo ojciec był znany ze swej skrupulatności. Zawsze dokładnie wiedział, gdzie co ma, a nawet gdy nic nie zginęło, potrafił rozpoznać, że mu ktoś czegoś dotykał.

Torba i mundur były szczególnie pielęgnowane. Zaraz po pracy ojciec czyścił kurtkę i spodnie z kurzu, a guziki kurtki i metalowe części torby przecierał szmatką, raz w tygodniu zaś pucował metal sidolem, a skórę torby pastą do obuwia. Dopiero gdy dopełnił tych czynności i przebrał się, siadał do obiadu. Wreszcie po nim wypełniał tak zwane cedułki. Były to podługne formularze, na których kopiaowym ołówkiem kreślił ozdobne litery i cyfry, głośno licząc po niemiecku: *Sechs mal neun ist vier und fünfzig*. Wszyscy doskonale rozumieliśmy, że uczył się w niemieckiej szkole, więc inaczej rachować nie może.

Lśniąca czarna torba z niklowymi okuciami, wisząca na długich paskach, które konduktorzy wieszali na szyi, stanowiła wielką pokusę. W oddzielnych przegródkach znajdowały się różne rodzaje biletów tramwajowych. Wiedziałem, że zrobiwszy wiszącymi przy torbie szczypcami odpowiednie dziurki — tę tajemnicę jako tramwajarski syn poznałem bardzo wcześnie — mógłbym wsiąść do idącej z ulicy Emilii Szczanieckiej piątki, pod pretekstem przesiadki z idącej od Górczyna czwórki. Wiedziałem i to, że bilet musiałbym wydrzeć ze środka bloczka, bo ojciec ma na cedulce spisany numer ostatniego sprzedanego biletu. Dość wcześnie zacząłem robić użytek z tej wiedzy i wypuszczałem się piątką w różne strony miasta, by je poznać. Wszystko to jednak zaczęło się dopiero po udanej malwersacji na szkodę Smoczykowej.



Dopiero wtedy odważyłem się raz po raz na podciągnięcie z torby dwudziestu groszy. Tu znów korzystałem z tego doświadczenia, że ojciec z własnych pieniędzy pozostawiał w torbie garść różnych monet, które nazywał jeszcze z niemiecka *Wechselgeld*, a które służyły mu do wydawania reszty pierwszym pasażerom na początku służby. Wiedziałem również, że ojciec — choć zawsze dokładnie wiedział, ile ma w torbie — liczył jej zawartość nie później niż przed kolacją. Między ostatnim posiłkiem więc a wyjściem do pracy kradzież nie mogła zostać dostrzeżona. Oczywiście, ojciec raz po raz narzekał, że mu coś brakowało, musiał jednak kłaść to na karb własnej pomyłki. Zresztą nie jestem pewny, czy mu inni domownicy nie podciągali pieniędzy, a od podejrzeń tych nie wykluczam nawet matki, która wiodła z ojcem permanentny spór o domowy budżet.

Wykluczony był natomiast mój brat Stefan, który w tym czasie był już uczniem cukierniczym, wstawał bardzo wcześnie rano do pracy i bardzo późno z niej wracał, zwykle podchmielony lub wręcz pijany. Najczęściej nie wchodził już do dużego pokoju; w owym czasie spał razem ze mną na jednym łóżku w małym pokoiku. Rodzice nieraz przeklinali dzień, w którym oddali go na ucznia do zakładu cukierniczego, lecz nigdy nie cofnęli tej decyzji, bo mój brat nie chciał zmienić miejsca pracy. Wiadomo było, że w razie zastosowania przymusu po prostu ucieknie z domu. Na dobitkę czeladnicy chwalili go, wyrabiając mu świetną opinię u szefa, majstra Rączyńskiego. Był prawdopodobnie nie tylko dobrym, cenionym pracownikiem, lecz i solidarnym kumplem, który od pierwszego dnia swej nauki brał czynny udział w spijaniu przeznaczonych do produkcji rumów, araków, win, „zagryzanych” surowymi jajkami.

Stefan był pierwszym nieszczęściem w domu. Ja, Irena, a trochę i Longina, w pewnym zaś okresie Janina, byliśmy dalszymi i na ogół mniejszymi nieszczęściami. Wagarowanie i wałęsanie się całymi dniami to były jego najpospolitsze grzechy, za które dostawał dyscypliną „na goliznę” aż do krwi. Ojciec lub matka często musieli chodzić do szkoły na rogu ulicy Strusia na rozmowy z panem rektorem Dąbrowskim. Bywało, że przyprawdzał Stefana do domu policjant.

To ostatnie zdarzało się raczej po większych przestępstwach, wśród których kradzieże nie należały do rzadkości. Podciągnięcie czegoś z jakiegoś sklepu, szkody czynione w okolicznych ogrodach, to były częste sprawy w okresie, gdy mój brat uczęszczał jeszcze do szkoły. Zdarzało się, że z całą kliką kolegów włamywał się do czyjejs piwnicy. Jednego razu taka szajka ukradła węgiel i sprzedała komuś innemu z sąsiedztwa.

Nie pamiętam jak długo odczuwałem wyrzuty sumienia z tego powodu, że raz po raz podkradałem coś ojcu, a kiedy indziej wybieraliśmy się w gronie rówieśników do okolicznych ogrodów i sadów. Być może, że już wtedy te drobne kradzieże traktowałem ulgowo jako rekompensatę swego materialnego upośledzenia. Widywałem ludzi, których było stać na wszystko, którzy nie odczuwali głodu owocu prosto z drzewa lub słodkiej czekoladki. Właśnie słodczyce kupowałem sobie za grosze podciągnięte z ojcowskiej torby. Bo w domu otrzymywało się je rzadko.

Sukces pierwszego przywłaszczenia z okazji Trzeciego Maja i dalsze sukcesy w podkradaniu drobnych monet — oto co sprawiło, że i później łątałem niekiedy swą biedę przywłaszczaniem cudzej własności. Gdy opuściłem dom rodzicielski i musiałem jakoś zaspokajać głód, odwiedzałem czasem zameźną najstarszą sio-

strę w jej mieszkaniu przy Wałach Królowej Jadwigi i wynosiłem za pazuchą jakąś książkę, wystrzegając się wzroku służącej Jagusi. Opylałem ją w antykwariacie Wilaka przy ulicy Podgórznej. To godziłem z własnym sumieniem.

A w gruncie rzeczy, czy nie jest we mnie aż do przesady żywe poczucie uczciwości? Gdy rozliczam się dziś spokojnie ze swego życia, uzbrojony w narzędzie sześćdziesięcioletniego doświadczenia, nie potrzebujący już niczego w życiu, świadom bliskiej śmierci, czynię to na podstawie jednego kryterium: ludzka i społeczna krzywda oraz ludzkie dobro, co zresztą sprowadza się do jednego. I mogę być spokojny, że tym kryterium kierowałem się zawsze.

Czyż jednak mam prawo oceniać siebie samego? A tym bardziej rozgrzeszać się? Człowiek jest wart tyle, ile i jaki pozostaje w pamięci innych ludzi, bo w ogóle istnieje dopóty, dopóki czyjaś pamięć go jeszcze nosi.

## Świat dzieciństwa

Łąka powraca w tej książce strzępkami wspomnień, podobnie jak podwórze, schody, sień. Są to bowiem pierwsze i najważniejsze łądy mojego dziecięcego świata.

W tym samym czasie, gdy zarośla się łąka, terenem zabaw dziecięcych stawały się także otaczające ją ulice: Spokojna, odchodząca od niej na prawo Klonowicza, przy której stały tylko trzy wille w ogrodach, oraz Wyspiańskiego na odcinku szkoły wydziałowej. Były to wtedy ciche uliczki, całkowicie wolne od ru-



chu kołowego, a pomimo to należały do nielicznych wtedy w Poznaniu pokrytych asfaltem. Łące wykradzono do tamtej pory teren tylko pod jeden dom mieszkalny, ten, który do dziś stoi na rogu ulic Głogowskiej i Spokojnej, czyli obecnej Kniewskiego. Głogowska w kierunku Niegolewskich była wtedy już całkowicie zabudowana, ale Spokojną od rogu Głogowskiej aż do Matejki otaczały same ogrody.

Gdy tylko w marcu zaświeciło pierwsze słońce, jezdnie opanowywały bąki. Bąk był to wtedy drewniany stożek wysokości od pięciu do siedmiu centymetrów, uzbrojony na czubku gwoździkiem, o powierzchni porowkowanej i barwnie pomalowanej. Puszczano się go na asfalt czubkiem palców założonych jeden na drugi tak, by sprężynowały. Bąk zeskakiwał na asfalt i wirując toczył się albo stał w miejscu na czubku. Obrotów dodawało mu się bacikiem. Uwiązany na kiju sznurkiem biło się zabawkę, żeby się kręciła dalej. Pod tymi uderzeniami bąk odskakiwał niekiedy na dość duże odległości, wirując coraz szybciej.

Odrębną sztukę stanowiło samo zapuszczanie bąka, czyli uruchamianie go. Robiło się to nie tylko założonymi w sprężynę palcami. Można było zakręcić go na asfalcie dwiema rękami. Najtrudniejszym jednak sposobem było wypuszczanie bąka z bata. Zawijało się sznurek dookoła w rowkach, a potem nagłym porywem bata bąk odkręcał się ze sznurka, wprawiając się w ruch wirowy.

Dziewczęta grały w kulki. Nie wiem, skąd one brały te wspaniałe, szklane, kolorowe, różnej wielkości cu-deńka. Zapewne kupowało się je w sklepach z zabawkami. Pstrykało się czymś takim do wygrzebanego w piasku dołka i przegrywało lub wygrywało na zasadzie podobnej jak w amerykańskim bilardzie. Kulki przedstawiały różną wartość. Za większą lub okazał-

szą kolorystycznie można było otrzymać dwie, trzy a nawet cztery gorsze. Ceny kształtowały się według zasad giełdowych i notowania zmieniały się w różnych dniach, na różnych ulicach, w różnych szkołach.

Podobną giełdę mieli chłopcy na „bejmy”, którymi grało się również w przedwiosennej porze na asfalcie lub na chodnikach. Bejmy, to były po prostu wycofane z obiegu monety, zazwyczaj dawne fenigi. Gra polegała na tym, że odbijało się monetę o ścianę, płot lub krawężnik, celując tak, by upadła jak najbliżej monety przeciwnika. Jeżeli gracz zdołał dotknąć obu monet napiętymi palcami jednej dłoni, moneta przeciwnika stawała się jego własnością.

Giełdowa spekulacja bejmami była jeszcze bardziej skomplikowana niż operacje kulkami. Wartość każdego zależała i od wartości nominalnej, i od wielkości, i od rodzaju metalu, i od wielu innych cech. Z grubszą biorąc najwyższe notowania miały zawsze niklowe, następnie miedziane, wreszcie żelazne i aluminiowe monety. Dużą wartość osiągały bejmy z dziurką. Nie mówię o srebrnych, bo takie nie kursowały pod groźbą odebrania ich przez dorosłych. Podobnie nie wolno było używać pieniędzy obiegowych. Wytrawni gracze giełdowi, decydujący o notowaniach — a do takich należał mój brat Stefan, spędzający na grze i na spekulacjach niekiedy całe dni — potrafili oceniać monety również według ich starości, wydawanego dźwięku, odcienia barwy i tak dalej.

Nie wytrzymałem długo przy tych zabawach, najdłużej może przy bąku. Woląłem zabawy ruchowe. A najchętniej wybierałem się z Alochem za miasto. Świat stawał się tam szerszy, świeższy. Czuję się tam pewniejszy siebie, śmielszy. Zaczynałem myśleć, podczas gdy miasto tłumilo myślenie.

To chyba gdzieś w okolicy ulicy Lodowej, zapewne

za ogrodem proboszcza musiało leżeć jakieś bajorko, gdzie z Alochem znaleźliśmy żaby. Wodne oko pokrywała rzęsa, dookoła rosły chwasty. Podczas wakacji bywaliśmy tam częściej. Spędzaliśmy może godzinę, może pół, dłubiąc kijem rzęsę lub rozbijając nim powierzchnię stawku. Żaby wyłaziły na brzeg, na trawę i gdy się zbliżaliśmy, długimi skokami uciekały w topiel. Obserwowaliśmy potem, jak wystawiały głowy nad powierzchnię wody.

Pamiętam, przyszły potem słoty, zaczął się rok szkolny i po lekcjach siedziało się w domu. Ale i wtedy kusił mnie daleki świat zasłonięty ścianą deszczu. Przystawiałem nos do szyby i długo patrzyłem, jak w spływających z niej deszczowych smugach szarzały i mętniały domy po przeciwnej stronie ulicy, a w miarowych odstępach czasu przelatywały tramwaje, niczym nieziemskie stwory. Wyżej nad ociekającymi dachami tylko bezbarwna głębia płaczących chmur.

Lubiłem takie dni, gdy w mieszkaniu było mniej żywych ludzi, najwyżej mama szła na maszynie i można było wyobrazić sobie takie osoby, z jakimi chciało się w danej chwili przestawać. Odwracałem się od szyby do mamy szyjącej wojskowe mundury i wpatrywałem się w czarne koło zamachowe. Nogi mamy poruszały się uparcie na pedale, to przyspieszając, to zwalniając. Gdy maszyna przez dłuższy czas trajkotała, wtedy zgodnie z jej taktem dygocący głos mamy nucił po cichu:

Maryniu, Maryniu, ksiądz jedzie.

Do kogo? Do kogo? Do ciebie!

A jaki? Wikary...

I piosenka urywała się, gdy koło maszyny rzedło aż do widoczności pojedynczych, ozdobnie rzeźbionych szprych, które wreszcie stawały nieruchomo. Ale ja



akurat wtedy widziałem chudego księdza w czarnej sutannie, siedzącego okrakiem na głowicy maszyny do szycia i wystającą z kąta głowę dziewczyny, o, właśnie tej Maryni, która była półniema, tej z podwórza, która czasem tę samą piosenkę próbowała śpiewać po swojemu.

A więc dom, sień, podwórko, ulica, łąka — takie były kolejne stopnie rozszerzającego się świata, lecz dalsze kręgi horyzontu rozszerzały się już nieregularnie. Zjawiały się dalsze obiekty, poznawane z pomocą wpierw ochronki a potem szkoły: palmiarnia, zoo, rzeka. Podobnie piekarnia, poczta czy po prostu jakieś niedalekie cudze podwórko. Ha! Wbrew wszelkiej logice bardzo późno poznawałem mieszkania niektórych sąsiadów, niedaleką uliczkę, pobliski sklep. Lecz w czasie, gdy mój świat nie zdążył jeszcze objąć całego Łazarza, ani nawet całej ulicy Głogowskiej, bywały już wypadki dalsze: do Dębiny, na Szeląg, na Malte, na Winiary, do Puszczykowa, Puszczykówka i Ludwikowa.

Do Dębiny uczęszczało się na niedzielne spacery letnie lub też przed Bożym Ciałem, by zrywać z dębów liście, z których potem plotło się w domu wieniec, przeznaczone do dekoracji okien na dzień ulicznej procesji; przechodziła ona bowiem przed naszą kamienicą. Hasałem wtedy z siostrami po lesie, zachwycałem się rzeką, jej rozległością, jej bystrym biegiem.

Na Szeląg chodziło się w dniu świętego Jana, odbywały się tam Wianki. Nad Wartą gromadziły się potężne tłumy, by słuchać orkiestr dętych, podziwiać wybuchy sztucznych ogni, przypatrywać się popisom artystycznych grup amatorskich, występujących na pływających barkach, oglądać dekorowane i iluminowane łodzie. Wiem, że moje siostry puszczały na wodę uplecione wcześniej w domu wianki z kwiatów. Dla mnie ważniejszy był rytuał jedzenia „rur” — zwiniętych

jakby w rulon twardych plastrów ciasta, smakującego trochę jak piernik, a trochę jak coś innego, niepowtarzalnego.

Odmienny charakter miały wyprawy na Winiary, gdzie mieszkał wuja Tomek, jeden z braci mamy, ożeniony z wdową *primo voto* Przybysz. Pamiętam to nazwisko, bo nosiła je córka wujenki Ola, a może widniało ono na drzwiach mieszkania wujostwa? Jedno jest pewne, że przed wejściem do sklepu rzeźnickiego było napisane wyraźnie: Tomasz Skorupski.

Dorośli chodzili na Winiary, by grać w karty i pić wódkę. Mnie pociągało tamtejsze podwórze, mające charakter wiejski, a więc całkiem egzotyczny dla takiego jak ja urodzonego mieszczucha. Lubilem mieszczący się w tym podwórzu warsztat rzeźnicki, ale jeszcze bardziej stojącego w stajni konia. Atrakcji było zresztą wiele. Zajadałem się, na przykład, wyrabianą przez wuja wątrobianką, której smak do dziś pamiętam jako najlepszego na świecie produktu wędliniarskiego.

Wielką atrakcją był sam spacer na Winiary. Co prawda z domu wyjeżdżało się najczęściej tramwajem, lecz dochodził on tylko do Sołacza, nie jechał jeszcze ani na Winiary, ani do Gołęcina. Szło się więc od alei Wielkopolskiej do Drogi Urbanowskiej i stamtąd ławkami nad wijącym się Wierzbakiem tak długo, aż w pobliżu kaplicy świętego Stanisława weszło się na ulicę Winiarską. Stamtąd nie było już daleko do ulicy świętego Leonarda, więc mojej ulicy, na której rogu stał uroczy wiejski dom parterowy w ogródku. W nim mieszkał wuja Tomek.

Z wujem Tomkiem i jego rzeźnictwem wiążą się niektóre wyprawy do Puszczykowa, choć częściej odbywały się one bez jego udziału. Szło się w tamtą stronę pieszo, często z wujostwem i kuzynostwem Pie-

przyckimi, a z powrotem jechało się okropnie zatłoczonym pociągami. Celem tych wypraw było zawsze zbieranie jagód, w które puszczykowskie lasy obfitowały. Bywało jednak, że zamiast do Puszczykowa jechało się do Ludwikowa, nad jezioro Góreckie.

A wyprawy do Puszczykowa odbywaliśmy czasem konno. Wują Tomek miał konia i wóz na wysokich kołach z płytką skrzynią, obitą wewnątrz blachą. Służył mu on do wożenia żywca ze wsi lub świńskich czy wołowych połówek z rzeźni do warsztatu. W letnią niedzielę mościł ten wóz słomą i w poprzek kładł deski do siedzenia. Przyjeżdżał z Winiar z ciotką i z kuzynką Olą do nas, na ulicę Głogowską i tam myśmy się doładowywali.

Cóż to była za rozkoszna wycieczka! Jechało się wśród łąk, pól i lasów, przez wioski i odludzia, a także przez półmiejski Luboń. Docierało się wozem aż w głąb lasu, by podjadłszy z domowych zapasów, rozpocząć jagodobranie. Dla mnie wszystkim był wtedy prawdziwy, żywy koń i gdy rodzina rozchodziła się po lesie, trwałem przy nim. Obchodziłem go z daleka pełen podziwu i zarazem trwogi. Tylko gdy ktoś wziął mnie na rękę i zbliżył do końskiego łba, ośmieliłem się pogłodzić ciepłe, pulsujące chrapy.

Lecz przecież nie Dębina, Szeląg, Winiary, nie Puszczykowo i Ludwikowo stanowiły pierwszy plan świata mego dzieciństwa, podobnie zresztą Malta, do której szło się jako do miejsca pamięci narodowej. Usypano tam w roku 1919 kopiec wolności. Do tego kopca ja również jako dziecko dorzuciłem symboliczną garstkę ziemi.

Pierwszym światem mego dzieciństwa był Łazarz oraz moi przyjaciele, chłopcy z naszego podwórza, synowie najzwyczajniejszych robotników. Do miejsc, o któ-



rych już tu dosyć napisałem, a jeszcze napiszę, nie zamierzam więcej powracać w tym rozdziale, więc powiem o moich pierwszych przyjaciołach.

Byli nimi sąsiedzi z kamienicy: Grześkowiakowie i Jędrzejczakowie. Obie rodziny mieszkały w tylnej oficynie, obie w tym samym pionie mieszkań, po lewej stronie patrząc z okna naszej frontowej klatki schodowej. Grześkowiakowie zajmowali mieszkanie parterowe, Jędrzejczakowie na trzecim piętrze. Obie rodziny — podobnie zresztą jak większość mieszkańców naszej kamienicy — pochodziły ze wsi. W pierwszych latach dwudziestego wieku wiele młodych małżeństw wiejskich osiedliło się w Poznaniu, gdy po włączeniu do miasta okolicznych wiosek: Jeżyc, Wildy, Górczyzna i Łazarza, rozpoczęła się szybka zabudowa miejska tych dzielnic, zwłaszcza ich głównych ulic, to znaczy na Łazarzu ulicy Głogowskiej.

Nie pamiętałbym już dziś, że ojciec Alocha Grześkowiaka był robotnikiem kolejowym. Mam jednak w swej bibliotece księgę adresową Poznania z roku 1917, a w niej między innymi spisanych wszystkich lokatorów naszej kamienicy, łącznie z moim ojcem. Z niej to dowiaduję się, że ojciec Alocha to był *Grzeskowiak Valentin, Bahnarbeiter*, a ojciec Czecha *Jędrzejczak J., Arbeiter*. O tym ostatnim pamiętam dokładnie, że pełnił funkcję furmana w firmie spedycyjnej Hartwiga. Niekiedy zajeżdżał przed dom ogromną platformą, ciągniętą przez parę typowo hartwigowskich, grubych koni rasy belgijskiej. Zostawiał wtedy na ulicy zaprzęg pod opieką jednego ze swych synów, szedł z długim batem w rękę do mieszkania, aby zapewne spożyć jakiś posiłek. Mieliśmy wtedy dużo radości z koni, choć bałem się ich bardzo.

Dodam tu nawiasem, że spis lokatorów we wspo-

mnianej księdze adresowej to dla mnie dziś cały wspomniały poemat. Niektóre rzeczy i sprawy z perspektywy czasu nabierają szczególnych wartości. Figuruje tych lokatorów aż czterdziestu pięciu. Dziś w kamienicy o takiej samej kubaturze nie pomieściłoby się na pewno więcej niż dwadzieścia mieszkań. Zresztą i wtedy nie brakowało mieszkań obszernych. Na takie właśnie patrzyliśmy codziennie z okien naszego domu rodzinnego, a nawet śledziliśmy te okna *vis-à-vis*, kamienicy u zbiegu ulic Głogowskiej i Spokojnej. Znajdowały się tam mieszkania takie duże, jakich dziś już prawie nie ma. Patrząc teraz w księgę adresową, liczę lokatorów w trzech takich ekskluzywnych kamienicach z naprzeciwka. Jest w nich: w jednej dziesięć, w drugiej jedenaście, w trzeciej dwanaście domostw. A żadna z tych kamienic nie jest mniejsza od naszej, zapchanej czterdziestoma pięcioma rodzinami. A wspomnę jeszcze — kiedy już o tym mowa — domy przy ulicy Matejki, których bogate, secesyjne wejścia oznaczone były tabliczkami z napisem: „Wejście tylko dla państwa”. Dla służby, listonoszów, domokrażców i tak dalej były oddzielne wejścia przez podwórze, tak zwanymi kuchennymi schodami.

Aloch i Czechu byli moimi rówieśnikami, choć nie wydaje mi się, byśmy w szkole uczęszczali do tej samej klasy. Na pewno jednak chodziliśmy razem do przedszkola, czyli do ochronki, jak to się wtedy mówiło. Ochronkę prowadziła parafia przy kościele Matki Boskiej Bolesnej. Kościół ten znajdował się niedaleko naszej kamienicy — stanowił wtedy jakby granicę Łazarza. Pola oddzielały naszą dzielnicę od później zurbanizowanego Górczyna. Tuż za ogrodzeniem cmentarza kościelnego rosło od strony Górczyna żyto. Za probostwem i domem parafialnym opadał w stronę ulicy Lodowej ogród proboszcza.

Proboszczem był wtedy ksiądz Kazimierz Maliński, okropny grubas. Moja siostra Irena pamiętała go jako działacza społecznego, choć po okresie inflacji przeklinano go, a do tych przeklinających należał także nasz ojciec. Otóż Maliński zbierał od parafian fundusze na budowę domków jednorodzinnych w Górczynie, należącym wtedy do tej samej parafii. Trafił jednak na okres, gdy pieniądze traciły wartość z dnia na dzień. Pewnego dnia tak wspaniałe poczynanie dotknęło bankructwo. Tylko niektórzy udziałowcy zdążyli wejść do pięknych domów w ogrodach, stojących do dziś. Ogromną resztę reflektantów spotkał gorzki zawód. Nieśłusznie winili za to organizatora. Zawód taki spotkał i naszych rodziców.

Otóż tenże proboszcz urządził za swym ogrodem ochronkę, prowadzoną przez siostry zakonne. Zajęcia odbywały się w domu parafialnym i w wydzielonej części proboszczowskiego ogrodu. Wśród innych zajęć na powietrzu oddawaliśmy się uprawie malutkich zagonków. Każde z dzieci siało sobie jakieś roślinki i dbało o nie. Było bardzo nabożnie, lecz mimo to brykało się nieźle i na tym parafialnym terenie. Pewnego dnia o zmroku zakradliśmy się do sadu proboszcza i łakomie zajadaliśmy cierpkie, niedojrzałe owoce. Sma-kowały jak każdy zakazany owoc. Że też instynkt dziecięcy każe na całym świecie odwiedzać i objadać sady proboszczów.

Tylko strzępki wspomnień pozostały w mej pamięci także ze szkoły podstawowej, zwanej wtedy powszechną. Wiem, że nigdy jej nie lubiłem, już pierwszy raz szedłem do niej z płaczem, prowadzony za rękę przez którąś z sióstr. A w domu uczyłem się rzadko. Był to okres domowych awantur, które sprawiały, że chodziłem nerwowo, roztrzęsiony, nieufny wobec ludzi.

Pomimo niezbyt dobrych stosunków ze szkołą moje



pierwsze świadectwa nie były najgorsze. Jakież to cud sprawił, że zachowały mi się aż dwa — z pierwszej i drugiej klasy! Chce mi się bardzo zacytować tutaj choć jedno:

Szkoła IX na Łazarzu

Świadectwo

Turkowski Leonard uczeń klasy Ic za czas od 1.IX.1921 do 27.VI.1922

Zachowanie się: dobre

Uwaga: dostateczna

Pilność: dostateczna

Porządek: dobry

Pochwały: ——— Nagany: ——— Areszt: ———

Opuścił godzin: 12 Spóźnił się: ———

Postęp

w religii mierny

w rysunkach dobry

w języku polskim dobry

w śpiewie dobry

w rachunkach dobry

w gimnastyce bardzo dobry

w piśmie dobry

Uwagi: Turkowski przejdzie do klasy II.

Poznań, dnia 27.VI.1922.

Rektor: (—) Dąbrowski Gospodyni klasy: (—) Białokórska

(Na samym dole podpis mego ojca, zaświadczaający przyjęcie treści świadectwa do wiadomości.)

Moje pierwsze świadectwa nie były więc złe, ale nie były też zbyt dobre, choć trzeba prędko dodać, że w tamtych czasach nie wystawiano ocen na ładne oczy. Obyczaje dobre oznaczały faktycznie dobre, ale tylko świętoszek mógł mieć bardzo dobre.

Takie średnie, a czasem i kiepskie świadectwa przynosiłem do domu zawsze. Dopiero na moich ostatnich dyplomach, uzyskanych już w wieku dojrzałym w toku studiów samodzielnych, widnieją same oceny bardzo dobre.

Chociaż moje stosunki ze szkołą nie były najlepsze (gorsze w szkole podstawowej, dobre w wydziałowej,

a w seminarium znów się zepsuły), pozostało w mej pamięci wiele miłych wspomnień. Jedno z nich pragnę przypomnieć w tym miejscu, dotyczy bowiem pierwszych lat mojej nauki. Opisałem je w marcu 1962 roku w tygodniku „Głos Nauczycielski”, a mam na myśli opublikowany z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet artykuł pod tytułem: „To najpiękniejszy zawód, jaki mogłam wybrać”. Naszkicowałem w nim sylwetki kilku nauczycielek: mojej wychowawczynie, mojej żony, byłej uczennicy z liceum pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej i wreszcie swej córki, wówczas kandydatki na nauczycielkę. A oto początek artykułu, pierwsza sylwetka, raczej wspomnienie, bo cóż ja mogłem powiedzieć o tej kobiecie:

„Miałem wtedy dziewięć lat, a pamiętam ją do dziś, ja, który dałem błogosławieństwo maturalne setkom młodych nauczycielek. Drobna, smukła, o dobrej, pociągłej twarzy i nieśmiałym a życzliwym spojrzeniu. Niestety, nie pamiętam już imienia. Nazywała się Tokłowiczówna, była moją wychowawczynią w trzeciej klasie szkoły powszechnej w Poznaniu. Czy jeszcze żyje? Gdzie? Pamiętam, niestety, tylko ją jedną, wtedy jeszcze było więcej nauczycieli niż nauczycielek.

Działo się zawsze na jej lekcjach coś ciekawego, a w dodatku wyprowadzała nas często poza klasę. Wspominam dotychczas pewien pogodny dzień kwietniowy, byliśmy na wycieczce nad Wartą. Któryś z chłopców pod przybrzeżną łąką złapał rybę, bieглиśmy więc do niej wrzeszcząc:

— Lin, proszę pani, złapaliśmy lina!

Rozczarowała nas, ale i zadziwiła. Myśmy nazwę ryby dostosowali do jej kształtu. Nauczycielka uśmiechnęła się, patrząc na zdobycz.

— To węgorz — powiedziała. — Nadzwyczajne, jakście go schwytali.

Po tym uśmiechu poszedłem za nią. Bo wyglądała tego dnia inaczej niż zwykle: szła sama, odzywała się do nas mało, w jej oczach odczytywałem smutek. Zdziwiło mnie to, bo jakżeż taka wszechwiedząca i zapewne wszechwładna pani może przeżywać chwile słabości? Szedłem za nią przez pewien czas chodnikiem, nie zważając na biegające wokół dzieci. Włożyłem rękę w jej dłonie. Zrozumiała mój gest, nie pamiętam jednak jej słów. Ja tylko ją czułem, lecz nie mogłem zrozumieć”.

Wkrótce po opublikowaniu tego artykułu otrzymałem list od pani Kazimiery Piotrowskiej z Inowrocławia. To była owa dawna panna Tokłowiczówna, córka rzeźnika z ulicy Górczyńskiej. Nawiązała się obszerna, serdeczna korespondencja, przyszło zaproszenie do Inowrocławia na kilka spotkań, pojechałem.

Później wszystko się jakoś urwało, jak to w życiu bywa.

Lecz, jak to już powiedziałem, nie szkoła była prawdziwym światem mego dzieciństwa. I prawdę mówiąc nie był nim właściwie także dom. Te dwa miejsca, które powinny być dziecku najbliższe i najdroższe, rychło stały mi się obce, a czasami nawet nienawistne.

Z Alochem i Czechem zwędrowaliśmy całą południowo-zachodnią część Poznania: Łazarz, Górczyn, Jeżyce, mniej więcej aż do szosy Okrężnej. W pierwszych latach dwudziestych było gdzie buszować już w najbliższej okolicy naszego domu, choćby w pobliżu łąki. Za płotami ulicy Spokojnej i Klonowicza leżały pełne tajemnic ogrody, nęcące owocami i warzywami. Zakradaliśmy się do nich pełzając pod siatkami, wyłamując sztachety. Wśród wielu emocji zrywaliśmy zielony groszek, wyciągaliśmy z ziemi marchewki, obciążaliśmy



czerwone jagódki porzeczek ze zwisających gron. Potem rozkoszowaliśmy się cudownym smakiem tych zdobyczy. Zjadać je — zdobyte własnym wysiłkiem i ryzykiem — to stanowiło rozkosz nad rozkosze. Odwiedzaliśmy ogrody również za Rynkiem Łazarskim, w okolicy ulicy Lodowej.

Gdy przyszło wypuścić się nieco dalej, wybiegaliśmy na rozległe pola, ciągnące się zaraz za ulicą Jarochowskiego, w pasie między ulicami Chociszewskiego i Wyspiańskiego. Dzisiaj to teren już od dawna zabudowany domami czynszowymi. Lecz wtedy? Dochodziliśmy tamtędy po prostu polami aż do koszar ówczesnego pułku taborów. Latem zanurzaliśmy się przy tej okazji w łąny zbóż, szukając w nich maków i modraków. Jesienią hasaliśmy po ścierniskach. Pamiętam ten teren bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, gdyśmy z siostrami chodzili na ścierniska zbierać nie zgrabione do końca kłosa. Wracało się do domu z workiem takich kłosów żyta lub jęczmienia i na podwórzu w dłoniach łuskało się ziarna.

Później z Alochem i Czechem chadzaliśmy w tę okolicę bezinteresownie. Naręcza czerwonych i modrych kwiatów przynosiliśmy co prawda do domów, lecz były to już zdobycze natury bardziej duchowej niż materialnej.

Ze szczególną siłą utrwaliła się w mej pamięci jesień. Pierwszą atrakcją tej pory stanowiło pieczenie ziemniaków na kartofliskach, drugą — puszczenie latawców, zwanych przez nas drachytami. Tę drugą atrakcję poprzedzało długotrwałe przygotowywanie sprzętu a jeszcze przedtem zdobywanie materiałów. Nie było dla nas sprawą łatwą zdobyć kłębek szpagatu i odpowiedni papier. Łatwiej przychodziło drewno, bo przecież paliło się w piecach, więc mieliśmy z czego strugać patyki.

— Samo majsterkowanie wymagało odpowiedniej precyzji, toteż towarzyszyły mu liczne próby, czynione na ulicy lub na łące, tej opodal domu.

— Gdy potem wyszło się na pole pod koszary taborów, wznoszące się wysoko latawce napełniały nas niewysłowioną rozkoszą i dumą. Wzlatywały w niebo, a razem z nimi nasze dziecięce serca. Nigdy jednak nie mieliśmy dostatecznie długich szpagatów i tylko wzdychaliśmy za tym, by wzbić się jeszcze wyżej, choćby tak wysoko jak obłe cygaro Zeppelina, które w owych czasach raz po raz ukazywało się nad Poznaniem.

— Na tych samych polach za ulicą Jarochowskiego rozpoczęło się palenie papierosów. Były to jeszcze próby, wynikające z potrzeby poszukiwania nieznanych wrażeń — swoisty sposób poznawania świata. Kończyły się one najczęściej fatalnym kaszlem, lecz ponawialiśmy je, no bo przecież trzeba było pokazać, że też się umie. Prawdziwe jednak palenie moje zaczęło się dopiero w seminarium nauczycielskim, już w pierwszym roku uczęszczania do tej budy.

— Stopniowo, zazwyczaj w niedzielne popołudnia, zaczęliśmy przekraczać granice ulicy Wyspiańskiego. Wchodziliśmy w ulice Ułańską lub Wojskową i minąwszy koszary ułanów zapuszczaliśmy się na dalsze pola, za zakład diakonisek, w trójkąt wytyczony zbiegającymi się ulicami Grunwaldzką i Marcelińską. Jeszcze nieco później dochodziliśmy do Bukowskiej, do miejsca, gdzie budowano pierwszą w Poznaniu radiostację nadawczą. Skomplikowana antena, rozwieszona na dwóch masztach, zadziwiła nas.

— Ja uchodziłem — nie bez kozery — za najlepszego w gronie przyjaciół znawcę fal radiowych. Chodziłem już wtedy do szkoły wydziałowej, a w niej mądry fizyk nauczył nas budowy detektorowego odbiornika radiowego. Zakupiłem wtedy stosowną liczbę gniazdek

i wtyczek, posrebrzanego drutu do łączeń, cieniutkiego drutu cewkowego i zwyczajnego przewodnika dzwonkowego. Dołożywszy do tego deseczkę i inne znalezione w domu drobiazgi, zmajsterkowałem sobie odbiornik. Wszystko wykonywałem własnoręcznie, łącznie z nawijaniem cewek. Gotowe ze sklepu były jeszcze: detektorek z kryształkiem i słuchawki na uszy. Gdy się je przy dobrym odbiorze położyło na talerzu, słychać było muzykę w całym pokoju. W ten sposób za tani grosz dom nasz stał się pierwszą w całej kamienicy odbiorczą stacją radiową, jak to nam szumnie kazał nazywać nasz nauczyciel.

Krążąc więc z Alochem i Czechem wokół płotu, za którym wznosiły się maszty z anteną nadawczą, objaśniałem im zasady powstawania, przekazywania i odbioru fal radiowych.

W ogóle nasze włóczęgi stopniowo z dziecięcego buszowania przekształcały się w wyprawy poznawcze, choć nigdy nie rezygnowaliśmy z gonitw i harców. Te ostatnie przypominają mi moją karierę harcerską, przerwana przejściem ze szkoły wydziałowej do seminarium. ZHP to była prężna organizacja, wymagająca od chłopców dyscypliny i wielu innych zalet. Trzeba było wiele umieć i przejść liczne próby, by dostąpić wejścia na jakiś wyższy stopień organizacyjny czy uzyskać tak zwaną sprawność. Uczyliśmy się Morse'a, węzłów, rozpoznawania śladów w terenie, ćwiczyliśmy się w marszach i podchodach, wyrabialiśmy w sobie bystrość i odwagę. Obfitowało to wszystko w liczne emocje. Dodawało ich przestrzeganie ścisłej i bezwzględnej dyscypliny.

Co do tej ostatniej, nie zapomnę nigdy, jak otrzymałem jakieś alarmowe zadanie i miałem pójść z mel-dunkiem do zastępowego. Był nim uczeń z nieco starszej klasy, mieszkający przy ulicy Gąsiorowskich. Do-



brze pamiętam do dziś ten dom z pruskiego muru, szeroką sień i mieszkanie na pierwszym piętrze. A pamiętam dlatego, że zlecony obowiązek traktowałem jako sprawę niezwyklej wagi. Rozkaz harcowski to była wielka rzecz. Szedłem do zastępowego z tak wielką treścią, jakiej nie przeżyłem nigdy więcej w życiu, nawet w zetknięciu z najbardziej krytycznymi audytoriami czy z najważniejszymi dygnitarzami. Zapukałem do drzwi, poprosiłem druha zastępowego (gdzieżby tam kto śmiał zwracać się do takiego inaczej, na przykład *per ty!*) i przekazałem mu meldunek. Wracałem do domu lekki, szczęśliwy, lżejszy o ten trudny kamień, który do tej pory leżał mi na sercu.

W miarę dorastania urządzaliśmy z przyjaciółmi z kamienicy coraz częstsze wyprawy w niedzielne przedpołudnia, podczas mszy. Przeżywaliśmy okres buntu przeciw zbyt rygorystycznie narzucanym obowiązkom religijnym. Zamiast iść do kościoła, wyprawialiśmy się za miasto, a pod kościół przychodziliśmy dopiero około południa, przed powrotem do domu. Było to konieczne, gdyż tam w kiosku sprzedawano tygodniki kościelne, z których trzeba było zaczerpnąć potrzebnych informacji. Na pierwszej stronie jednego z nich czytaliśmy przez szybę ewangelię, przeznaczoną na ową niedzielę. Niekiedy wystarczyło zapytać o treść ewangelii kogoś znajomego, lecz to już było ryzykowne. Wtedy pytaliśmy także, który ksiądz odprawiał mszę o określonej godzinie. Na te dwa pytania trzeba było umieć odpowiedzieć, gdy rodzice podejrzewali, że ich synkowie mogli wagarować od kościelnych obowiązków. Z drugiego pytania można było zresztą wykłamać się, bo rodzice nasi uczęszczali na msze najwcześniejsze, a nie mogli znać obsady wszystkich kolejnych nabożeństw.

Trasy i repertuar wypadów do miasta i za miasto

zmieniały się oczywiście nie tylko w miarę naszego dorastania, lecz także razem ze zmianami pór roku. Zimą, gdy znudziło się już saneczkowanie lub ślizganie na łyżwach w pobliżu domu na łące, wyprawialiśmy się na Teatralkę, czyli na górkę obok opery, spadającą z ulicy Fredry ku Wesołej. Niestety, ulica Wesoła leży dziś na Marcelinie, a od niej odbiega ulica Spokojna. Nie mogę na planach miasta znaleźć żadnej nowej nazwy dla dawnej Wesołej — może stanowi ona odnogę uliczki Noskowskiego? A moja dawna Spokojna nazywa się obecnie ulicą Kniewskiego. Po co to wszystko? Dlaczego Kniewskiemu nie poświęcono jakiejś nowej ulicy, pozostawiając Spokojną w spokoju? Dlaczego w ogóle zmienia się nazwy ulic i powoduje galimatias? Gdzie podział się kult tego, co dawne i szacowne? Przecież dla upamiętnienia nowych bohaterów, nowych zdarzeń historycznych, jest takie mnóstwo nowych ulic, powstających każdego roku!

Wiosną lubiliśmy wypuszczać się do Dębiny, gdzie najpełniej mogliśmy kontemplować i obserwować rozkwitanie nowego życia po zimowym śnie. Latem chadzaliśmy przez Rynek Łazarski ku drodze, która stała się obecną Trasą Hetmańską i przez Wilde doszedłszy do rzeki, buszowaliśmy na jej brzegach lub kąpaliśmy się w naszej ukochanej Warcie. Jesień wyciągała nas w stronę Gołęcina lub Śródki i Głównej. Spacerowanie wydłużało się w miarę jak i my rośliśmy. A przyjaźń nasza umacniała się z każdym nowym doświadczeniem, z każdą nową przygodą.

Ciekawe, dlaczego zawsze ciągnęło nas za miasto? Może przyczyna tkwiła w tym, że choć urodzeni w mieście, byliśmy jeszcze nosicielami wiejskich tradycji, wyniesionych z rodzinnych domów? Może — podobnie jak nasi rodzice — tęskniliśmy za tym, co pierwotne, za tym, co tkwiło w naszych instynktach?

Ciekawe też, że miasto zwiedzałem sam, bez przyjaciół. Łaziłem po nim niestrudzenie, poznawałem stare i nowe, zabytki oraz wznoszone właśnie budowle. Znałem każdą ulicę, zaułek, każdy ważniejszy budynek, park, cmentarz, pomnik i pomniczek, każdy sklep i zakład przemysłowy, łącznie z najmniejszą fabryczką. Miałem w głowie szczegółowy plan ówczesnego Poznania. Z nabożeństwem wpatrywałem się w pamiątki przeszłości, lecz z zachwytem witałem każdą zmianę. Z jakimż zainteresowaniem śledziłem zabudowę terenów Targów Poznańskich, z jakim aplauzem patrzyłem na wznoszenie zachodniego dworca przy terenach targowych!

Największe jednak sensacje przeżywaliśmy wspólnie z moimi pierwszymi przyjaciółmi. Wchodziliśmy na płoty i dachy, by zaglądać tam, gdzie wzrok nie sięga. Czepialiśmy się konnych dorożek i tramwajów, by rozkoszować się szalonym pędem. Wdrapywaliśmy się na najwyższe drzewa, by doznawać zawrotu głowy. Lecz nie doznawaliśmy go zbyt łatwo. Pamiętam, że przez strych wdrapywałem się na dach naszej trzy-piętrowej kamienicy i z jego skraju spuszczałem na szpagacie szpulkę od nici stojącemu na dole Ałochowi.

Organizowaliśmy gonitwy, chowaliśmy się w kryjówkach. Zbieraliśmy dziwne kamienie, kwiaty i liście, próbowaliśmy smaku nieznanych owoców. Poznawaliśmy świat nie tylko wszystkimi zmysłami, lecz także eksperymentem, wysiłkiem, uczuciami sympatii czy niechęci. Robiliśmy hałas, to znów zanurzaliśmy się w ciszy, by skradać się czy choćby słuchać jej śpiewu.

Żyłem zmysłami, żywołem. Może po to uciekałem z miasta? Może właśnie po to, by dać upust pierwotnym instynktom? Było w nas coś dzikiego.

Lekturom, sztuce oddawałem się sam. Wróciwszy do domu szukałem spokojnego kąta, czytałem czasopisma



z dodatkami dla dzieci, ze szczególnym upodobaniem szukając ilustracji i wierszy. Gdy miałem trzynaście lat i myślałem już wtedy o pójściu do seminarium nauczycielskiego, cały rok naprzód zacząłem u kogoś ze znajomych uczyć się gry na skrzypcach, które później stały się moim ulubionym instrumentem. Pozostałem im wierny aż do końca, choć grałem na nich po opuszczeniu szkoły coraz rzadziej i coraz gorzej. Posiadany instrument sprzedawałem chyba z pięć razy, zawsze z biedy, lecz przy nieco lepszej prosperity kupowałem następny.

Przyjaciele podziwiali moje zainteresowania muzyczne i poetyckie, lecz ich nie dzielali. Zyskałem przez nie szczególny autorytet. Wywodził się on i z tego faktu, że po czwartej klasie szkoły powszechnej poszedłem do „wydziałówki”, uchodzącej w sytemie niemieckim za szkołę średnią. Poniemiecka *Bürgerschule* lub *Mittelschule* pozostała w Polsce odrodzonej jako typ uczelni niematuralnej, niższej od ówczesnego gimnazjum, przeznaczonej dla niższych sfer mieszczańskich. Znikła z reformą szkolną lat trzydziestych.

Będąc uczniem „lepszey” szkoły, traktowany byłem przez sam status uczniowski jako ktoś lepszy. Posiadałem też oczywiście bogatszą od nich wiedzę, między innymi uczyłem się języków, celując we francuskim.

Stosunki z moimi przyjaciółmi Alochem i Czechem zaczęły jednak coraz bardziej słabnąć i rozluźniać się z chwilą mego wstąpienia do seminarium. Pierwszą z przyczyn była odległość do szkoły i wydłużony czas, który trzeba było jej poświęcać łącznie z zajęciami pozalekcyjnymi w postaci sportu, śpiewu chóralnego, orkiestry szkolnej i tak dalej. Drugą — nowy krąg przyjaciół, w który wszedłem i z którym łączyłem się coraz serdeczniej. Dodajmy do tego wpływ samego kształcenia: treści nauczania, osobowości nauczycieli.

To wszystko poszerzało horyzonty, wprowadzało w całym nowym kręgu zainteresowań. Coraz więcej czasu poświęcałem lekturom, pisaniu, skrzypcom, teatrowi, kinu. Przyjaciele także wchodzili w inne światy, zawiązywali nowe kontakty. Aloch uczył się szewstwa, czego mu zazdrościłem, bo zarabiał, stawał się dojrzalszy wobec życia. Czesław — nie pamiętam. Gdybyśmy się dziś spotkali, prawdopodobnie mielibyśmy sobie mało do powiedzenia. Ale Aloch nie żyje, zginął w kampanii wrześniowej. Czechu — nie wiem.

Pozostało we mnie ogromne napięcie tęsknoty za tamtymi czasami. Pozostał prawdziwy szacunek dla tamtych przyjaźni i nie wygasła miłość do tych biednych dzieci proletariackich, do których grona sam należałem.

## Marzenia

Jakie były marzenia mego dzieciństwa? Mówią, że nie jest najistotniejsze to, jakim człowiek się stał, lecz raczej to, jakim chciał zostać. To znaczy, że człowieka najlepiej charakteryzują jego marzenia. A mnie dziś tak trudno je odtworzyć. Czy to jest w ogóle możliwe?

Jeżeli pożywką marzeń człowieka są jego lektury, to karmiłem je zaiste pokarmem dla ubogich. Takim pokarmem były zarówno moje książki, jak czasopisma i gazety.

Po te ostatnie chodziłem jako najmłodszy w domu. Baczyłem, by nie pójść za późno, lecz także by nie pójść za wcześniej i nie zostać skazanym na dwukrotne chodzenie. Posyłano mnie bowiem po różne rzeczy bez opamiętania, sądząc, że czasu mam pod dostatkiem.

Ledwie przyniosłem mamie cukier lub mąkę, ojciec przypominał sobie o zapalkach. Nie pomyślał o tym, że są mu potrzebne do zapalenia ostatniego papierosa. Więc po dwudziestu minutach zbiegałem po pięć aromaticów. Nie kupował nigdy więcej niż pięć pod pozorem ograniczenia palenia, ale kończyło się tylko na częstszym wysyłaniu mnie do sklepu.

Po gazety jak i po papierosy biegałem do Trybusa, sklepu papierniczo-tytoniowego, mieszczącego się w drugiej od nas kamienicy w stronę Górczyna. Wybrany przez ojca dziennikiem był chadecki „Postęp”, to znaczy późniejszy „Nowy Kurier”, w którym później zdobywałem dziennikarskie ostrogi. Prócz tej gazety kupowało się ilustrowany tygodnik „Przewodnik Katolicki” wydawany u Świętego Wojciecha. Ojciec był od początku do końca bardzo religijny i wierzył także w polityczną mądrość Kościoła.

U Trybusa prenumerowało się tylko gazetę codzienną. Jako dowód prenumeraty otrzymywało się kartonik z wydrukowanymi dniami miesiąca. Na nim właściciel dopisywał prenumerowany tytuł, nazwy miesiący i nazwisko prenumeratora. Z tym kartonikiem chodziłem każdego popołudnia do sklepiku, między czwartą a piątą bowiem przywożono gazety. Trybus lub ktoś z jego rodziny wręczał dziennik i kopiaowym ołówkiem zakreślał na kartoniku odpowiednią kratkę z bieżącą datą. W godzinach wzmożonego ruchu czynił to raczej ktoś z rodziny, bo sam Trybus pilnował lady z tytoniem. Sprzedawał tabakę, cygara, gilzy, papierosy na sztuki. Te ostatnie wybierał z dużych, setkowych pudełek i zawijał w papierek trzy, pięć, dziesięć sztuk, ile kto sobie życzył.

Moje marzenia — zwłaszcza literackie — wiążą się jednak raczej z kupowaniem „Przewodnika Katolickiego” niż „Postępu”. Był to stary tygodnik, pamięta-



jący jeszcze czasy zaborcze, który stał się później ogólnopolskim wysokonakładowym magazynem, oczywiście o określonym ideowo profilu. Chodziłem po niego gdzie indziej, bo może w tych czasach Trybus prowadził tylko dzienniki? A może „Przewodnik” był rozpowszechniany tylko przez sklepy i kioski z dewocjonaliami? Albo w sklepie dewocyjnym bywał do nabycia wcześniej?

Taki właśnie sklep znajdował się w jednym z domów przed kościołem Łazarskim, idąc z naszej strony, za luką w zabudowaniach, jaka wtedy łączką spadała w dół, ku ulicy Lodowej. A jeszcze bliżej, między tą luką a Rynkiem Łazarskim, miał sklep jakiś piekarz, którego nazwiska nie pamiętam. Kupno „Przewodnika” kojarzy mi się właśnie z tym piekarzem, choć przecież chleb i inne pieczywo kupowało się zawsze albo u Przykuckiego, tuż za Trybusem, albo dwie kamienice od nas w stronę miasta, u Babsta.

Fakt faktem, że zakup tygodnika utrwalił mi się w określonej celebracji.

Oto wracałem ze szkoły — pamiętam, że już z tej szkoły na Placu Ciętym, przy ulicy Jarochońskiego — i przypominałem mamie, że to środa. „Przewodnik” ukazywał się już tak wcześnie — zapewne tylko dla miasta Poznania, bo do innych miejscowości trzeba było rozsyłać go transportem zorganizowanym nie tak sprawnie jak dziś. Mama dawała mi tradycyjnie pieniądze zarówno na tygodnik jak na jedną sznekę. Owe słynne poznańskie szneki, to znaczy zawijane drożdżówki, przekładane makiem i lukrowane po wierzchu, o ustalonej raz na zawsze cenie dziesięciu groszy, równej cenie dwóch bułek, stanowiły mój ulubiony przysmak przez długie lata. A i dziś funduję sobie taką, gdy znajdę się w Poznaniu w pobliżu godnej zaufania cukierenki.

Wypadałem z domu i biegiem puszczałem się do sklepu z dewocjonaliami. Pismo przeważnie już było, rzadko tylko musiałem powtarzać swą wyprawę po godzinie czy dwóch albo dopiero w czwartek. Z uczuciem szczęścia niosłem ów tygodnik, do którego przywykłem. Formatem i całym swym wyglądem zewnętrznym przypominał powojenny „Przekrój” z epoki bezbarwnej, a wtedy nawet spełniał funkcję „Przekroju” w rodzinach robotniczych. W drodze powrotnej wstępowałem do owego piekarza po sznekę. Wracalem z tymi zdobyczami do domu i rozkładałem się z nimi na kuchennym stole. Oglądając ilustracje zjadałem ulubiony smakołyk. Następnie czytałem wybrane materiały, zwłaszcza wiersze. Przede wszystkim te głównie dla mnie przeznaczone, to znaczy zamieszczone w dodatku dla dzieci.

Skąd we mnie wtedy te zainteresowania poezją? Wydają się coś najmniej dziwne. Wynikały może z pewnego okresowego oderwania od mego podwórkowego środowiska, co mogło wywołać poczucie osamotnienia. Do klasy trzeciej czy czwartej szkoły powszechnej — nie wiem dlaczego, może po prostu w drodze czegoś podobnego do losowania — zostałem przeniesiony z ulicy Strusia na Plac Cięty. Prawdopodobnie szkoła ta była pierwotnie żeńska, a na Strusiu męska. Przyczyną była pewnie ciasnota przy ulicy Strusia, a na Placu Ciętym szkoła była obszerna, rozmieszczona w kilku budynkach, co pozwalało na zachowanie podziału według płci. Fakt faktem, że fala przeniesień dotknęła i mnie. Zmienił się zespół kolegów w klasie, zmienili się nauczyciele, zacząłem chadzać nieco innymi drogami niż Aloch i Czechu.

Samotność moją wzmagaly tragedie rodzinne. Ojciec wtedy pił, w domu panowała bieda, kłótnie między rodzicami należały do codzienności. Brat powodował dal-

szere częste awantury swymi wybrykami, jedna z siostr zaczynała wynosić się z domu, druga też przeprowadziła się do mej chrzestnej matki Rempulskiej, u której podjęła pracę przy szyciu kołder. Najstarsza siostra zaczynała mieć kawalerów, o których też wybuchaly głośnie problemy. Ja przynosiłem coraz gorsze świadectwa, bo opuszczała mnie wszelka chęć do nauki. To wszystko sumowało się w jakiś koszmar, tragedię. W poczuciu wyobcowania musiał mi trafić do rąk jakiś wiersz, znajdujący rezonans w znękaney duszy. Zacząłem pewnie szukać następnych, podobnych. Stałem się wtedy bardzo ponury. Rodził się we mnie bunt przeciwko światu, który nieco później — w początkach okresu seminaryjnego — przeobraził się w filozofię pesymizmu. To musiało znaleźć ujście. Pisałem. Papier okazywał się cierpliwy i dyskretny.

Następowały w moim życiu zmiany, wzmacniające moją ufność do intymnych spowiedzi poetyckich. Z klasy czwartej szkoły na Placu Ciętym przenieśliem się do Szkoły Wydziałowej przy ulicy Berwińskiego (praktycznie Wyspiańskiego, bo wchodziło się tamtędy, od strony dziedzińca). Z naszej kamienicy do tej „lepszej” szkoły nie uczęszczał nikt więcej. Był tylko Kaziu Ewicz, uczący się w gimnazjum, lecz dla nas była to rodzina jakby arystokratyczna. W tym okresie zacząłem znów uczyć się solidniej, co należało najpewniej do zasług znakomitej kadry nauczycielskiej w „wydziałówce”. Tak więc poczucie wyobcowania połączyło się z poczuciem wyniosłej izolacji. Wszedłem na dobre w krąg zainteresowań intelektualnych. Świetnie opanowałem języki niemiecki i francuski. Nie wycofałem się co prawda z podwórza, lecz miałem już drugie życie.

Pamiętam, że bardzo urzekały mnie wiersze patriotyczne, których nie brakowało w „Przewodniku Kato-



lickim". Uczono ich też w szkole, a wreszcie mogłem je znaleźć w domowym wyborze poezji Mickiewicza. Patriotyczne uczucia znajdowały też podbudowanie w polskiej atmosferze, gorącej jeszcze po tak niedawnym „wybuchu Polski” oraz w wieściach idących ze świata. Przecież jeszcze w roku 1922 wcielono do Polski Wileńszczyznę, władze polskie zaczęły przejmować część Górnego Śląska. Bardzo dotknął mnie wstrząs na wiadomość o zamordowaniu pierwszego prezydenta Polski. W roku 1923 Ententa uznała granice naszego kraju, nasz rząd uznał ZSRR. W roku 1924 wprowadzono wreszcie polską walutę — złote i grosze. Pamiętam, oszołomiony tym budzeniem się ojczyzny, sporządziłem w domu mapkę Polski z zaznaczeniem odzyskiwanych ziem, z wyraźnym podaniem państw ościennych. Jaka ta mapka była, taka była, lecz została wyposażona w kijki na górze i na dole, pozwalające ją po szkolnemu zwijać i rozwijać. Była to sprawa ważniejsza niż dokładność granic i wierność rysunku rzek.

Tak więc poezja rozkwitała we mnie równocześnie z patriotycznym uniesieniem. I wiele moich pierwszych wierszy było utworami o ojczyźnie. Pamiętam, że niektóre z nich wrzucałem do redakcyjnej skrzynki „Przewodnika” przy Alejach Marcinkowskiego. Przeglądałem potem pilnie kącik z odpowiedziami redakcji. Były odmowne dla mnie, jak zresztą prawie wszystkie w takich sprawach, lecz życzliwe, zawierające zachętę do pisania. Czy to nie te zachęty zadecydowały o ustaleniu się moich zainteresowań poetyckich?

Pisałem więc. Nauczycielom podobały się moje wypracowania. W wydziałówce otrzymałem pierwszą nagrodę w ogólnoszkolnym konkursie na bajkę, zorganizowanym przez świetnego nauczyciela nazwiskiem Pappala, którego brat Józek chodził do tej samej klasy co

ja. Później, w seminarium nauczycielskim, publikowano moje wiersze, w odbijanej na powielaczu gazetce szkolnej pod tytułem „Życie radosne”. Prowadziłem tam też kronikę szkolną, przechowywaną w gabinecie dyrektora, gdzie dokonywałem zapisów.

Nie, ani w szkole, ani nawet po opuszczeniu jej, nie marzyłem o karierze literackiej, choć marzyłem o tym, by zostać poetą. Nie oznaczało to tego samego. Pragnienie zostania poetą nie kojarzyło mi się bynajmniej z żadnymi sukcesami, sławą, zawodem. Wystarczała mi rzecz sama w sobie.

W marzeniach o pracy zawodowej widziałem siebie zawsze raczej jako nauczyciela. Po latach marzenia te przekazałem bohaterce swej powieści „Niebo nad sadem” — Jadzi, uczennicy liceum pedagogicznego. Wziął się z nich sam tytuł powieści. Zwidywała mi się wiejska szkółka, chyba taka o jednym nauczycielu, otoczona sadem, w którym stoję spleciony uściskiem ze śliczną dziewczyną, a dookoła słychać wesóły gwar rozchodzących się do domów dzieci. I wspaniałe, pogodne niebo nad tym sadem.

Przewidziałem też siebie jako wykładowcę zakładów kształcenia nauczycieli. Oto w marzeniach swych stoję na szkolnym dziedzińcu, otoczony kilkunastoletnimi dryblasami, rozprawiającymi ze mną szczerze i przyjaźnie. Ten obraz rodził się we mnie jako reakcja na surowość, nieprzystępność i obcość dyrektora seminarium Juliana Wagi, potrafiącego odtrącać młodzież od siebie i od szkoły, co zwłaszcza mnie boleśnie dotykało. Później, ucząc w liceach pedagogicznych, przywoływałem młodzieńcze marzenia i konfrontowałem je ze swoją pracą. Owszem, bywałem dobrym, przyjaznym młodzieży nauczycielem, choć nie zawsze. Lecz gdy się dziś spotykamy, witamy się bardzo serdecznie.

Jeszcze dwa inne marzenia towarzyszyły memu dzieciństwu i wiekowi młodzieńczemu. Jedno — nie być takim biednym, jakim byłem. Drugie — zostać dziennikarzem. Lecz myśl o tym drugim zawodzie zjawiała się dopiero później, gdy rozwiały się marzenia o zawodzie nauczycielskim. Napęliło mnie ono najmocniej w okresie mej pracy w redakcji „Nowego Kuriera”.

Była to biedna redakcja, pensje wypłacano w niej zaliczkami nie tylko dlatego że niegospodarni redaktorzy stale potrzebowali pieniędzy, lecz i dlatego że w kasie stale tych pieniędzy brakowało. Pomimo to ich stopa życiowa była jak na moje wyobrażenie wysoka. Zresztą wcale nieźle też żyli inni znani mi dziennikarze z różnych redakcji poznańskich, którym zazdrościłem tego, co mieli. Lecz na pewno jeszcze bardziej pociągała mnie wysoka pozycja społeczna dziennikarzy, ich, jak mi się wydawało, niezależność. A wreszcie ich ciekawa praca.

Marzenie o tym, żeby nie być biednym, okresowo związane było z dziennikarką, lecz nie zawsze. Kojarzyłem je również często z pracą nauczycielską. Później z jakąkolwiek stałą pracą.

Mając osiemnaście czy dziewiętnaście lat, napisałem na ten temat wiersz, zamieszczony w moim debiutanckim tomiku „Krzyż na rozdrożu”. Nie jest to z pewnością najlepsza poezja, jest to jednak wyraz tęsknot milionów ludzi w ówczesnej Polsce. I pisałem ten wiersz — wiem to — nie tylko jako lirykę osobistą. Pisałem go czując te miliony za sobą.

## PRACOWAĆ

Pracować. Zarobić. Móc płacić.

Człowiekiem być — nie świnią.



Co dzień wieczorem po pracy  
spokojnie przejść się z dziewczyną.

Pracować. Zarobić. Mieć spokój.  
Nie słyszeć: „Łazik, pasożyt...”  
Co dzień z uśmiechem w oku  
do łóżka spać się położyć.

Pracować. Jak inni. Tak samo.  
Ust nie zamykać skoblem.  
Codzienie rano  
Powiedzieć sobie: dzień dobry!

Niestety, wchodziłem w życie w okresie największej katastrofy ekonomicznej świata, najpotworniejszego kryzysu. Taka jest prawda. Czy to dziwne, że wśród moich marzeń o pięknym świecie, tworzeniu poezji, o miłości, o pracy dla ojczyzny, o godziwym życiu było i to pragnienie, by nie być takim biednym? Nie marzyłem nigdy o bogactwie, o dobrobycie na wielką skalę. Chciałem tylko wyjść z ubóstwa.

A muszę powiedzieć, że to pragnienie, choć późno, bo właściwie dopiero w ostatnich kilku czy kilkunastu latach, spełniło się. Mogę dowolnie zaspokajać wszystkie moje skromne potrzeby, choć może właśnie tylko dlatego że są one skromne.

Spełniły się i inne moje marzenia. Bywałem poetą. Przez wiele lat dużo satysfakcji dawała mi praca nauczycielska. Już po wojnie przepracowałem znów siedem lat jako dziennikarz, a i poza tym okresem publikowałem i publikuję do dziś wiele artykułów, reportaży, felietonów. Mogłem dać z siebie to i owo w pracy dla ojczyzny. Zaznałem również trochę miłości.

Jestem jednak wyraźnie świadomy tego, że wszystko to zawdzięczam dokonanej w Polsce rewolucji. W tamtym międzywojennym dwudziestoleciu byłem dosłownie niczym, a na domiar złego nie otwierały się prze-

de mną żadne perspektywy na przyszłość. Wielekroć stawałem przed decyzją samobójstwa i tylko lęk mnie bronił przed tym krokiem. Może i bywały tygodnie, gdy miewałem trochę grosza, może bywały i malutkie sukcesy w tamtym życiu. (Niedawno odwiedził mnie człowiek, który przed czterdziestu laty nauczył się na pamięć mego wiersza i umie go do dziś.) Lecz całość tego życia to jeden wielki koszmar, ogrom beznadziei, jaka mnie otaczała i panoszyła się we mnie. Mogłem wtedy tylko zginąć.

I zginąłbym na pewno, nie wytrzymałbym już długo takiego napięcia, pustki i poniżenia. Kto wie, czy nie stałoby się to już wiosną lub latem 1939 roku, gdyby nie perspektywa wojny. Może to brzmi strasznie, bluźnierczo, ale przyznam się, że oczekiwałem tej wojny jak wybawienia od dotychczasowej beznadziei, inaczej oczywiście wyobrażając sobie jej przebieg. Przewidywałem, że wraz z wojną skończy się moje poniżenie.

Rzeczywiście, tak się stało, choć przedtem trzeba było przeżyć kawałek jeszcze koszmarniejszego życia, ponad pięć potwornych lat okupacji hitlerowskiej.

## Praca

Nim w ostateczny sposób stanąłem przed oczywistością, że nie będę nauczycielem, musiałem wykonywać wiele innych zawodów. Pracowałem przecież już jako uczeń seminarium i robiłem rzeczy bardzo różne.

Nie próbuję tu nawet do rejestru moich prac zarobkowych zaliczać krótkotrwałych korepetycji, czy też lekcji nauki gry na skrzypcach, których udzielałem różnym osobnikom bez słuchu. Liczę tylko roboty, nie

związane z nauką szkolną, to, co Sztaudynger w swej przedmowie do mego debiutanckiego tomiku określił jako „od zajęcia do zajęcia”, a co stanowiło doskonałą szkołę życia, przydatną w późniejszej pracy nauczycielskiej, a następnie dziennikarskiej.

Za późno zreflektowałem się, że na Powszechnej Wystawie Krajowej można zarobić. Trwała ona przez kilka miesięcy, od 16 maja do 30 września 1929 roku i przez tych kilka miesięcy nieczynne były szkoły, potrzebne na cele kwaterunkowe. W seminarium werbowano wprawdzie konduktorów do pracy na akumulatorowych wózkach, kursujących po terenach wystawowych, ale przyjmowano tylko uczniów najstarszych klas. Komunikację tę organizowała Poznańska Kolej Elektryczna, więc mógłby mi pomóc ojciec, lecz pewnie byłem za młody. Fakt faktem, że znalazłem sobie inną pracę. Tacy jak ja chłopcy sprzedawali na wystawie mrożoną śmietaną w czekoladzie „tatra-śnieg”, smakowały jak na rok 1929 sensacyjny, lecz drogi, pięćdziesiąt groszy za porcję, podczas gdy zwykle lody można było zjeść już za pięć groszy. Po pertraktacjach stanęło na tym, że mogę iść do tej pracy, a wymaganą przez producenta kaucję pomoże mi złożyć najstarsza siostra. Zaofiarowała na ten cel wazon, który przyjął producent.

W czerwcowy poranek, ubrany w biały kaftan i białą czapkę, z zawieszonym na pasku i opartym o brzuch pudłem ruszyłem na podbój terenów wystawowych. Był dzień powszedni, ludzi przed południem niewiele, lecz ja szedłem między nich i wołałem:

— „Tatra-śnieg”, mrożona śmietana w czekoladzie! Nowość! Porcja tylko pięćdziesiąt groszy!

Daremne były to wołania. Chodziłem struty, a najbardziej gniewało mnie to, że inni, podobni do mnie, sprzedawali porcje czasem na moich oczach. Szedłem





Leonard Turkowski w 1935 r.

tam, gdzie im się szczęściło, lecz nic z tego nie wychodziło. Szedłem gdzie indziej, lecz tam nie było publiczności. Wołałem z zapamiętaniem:

— Za jedne pięćdziesiąt groszy mrożona śmietana w czekoladzie! Kupujcie „tatra-śnieg”!

Po południu ludzi na wystawę przyszło więcej, lecz nic to nie pomogło. Do chwili zamknięcia terenów sprzedałem jedną porcję. Drugą — dla poprawienia efektu handlowego — zjadłem sam za pięćdziesiąt groszy, otrzymane od matki na kupienie w ciągu dnia czegoś na obiad. Gniew mój wzrósł, gdym się przekonał przy wieczornym rozliczeniu, że wszyscy inni chłopcy sprzedali co najmniej po kilka porcji, a niektórzy nawet całą zawartość pudeł. Tereny wystawowe były ogromne. Wróciłem do domu z dziesięcioma groszami prowizji, w połowie zarobionej na sobie samym, zziębnięty, głodny i zniechęcony.

Gdym następnego dnia poszedł na wystawę, już bez cienia wiary w swoje możliwości, moje wołanie musiało przypominać płacz nad grobem. Znow widziałem, jak inni chłopcy pozbywali się towaru. Gdy mijalem któregoś, pytaliśmy się nawzajem, jak tam kasa. Byłem jedynym, którego kasa świeciła pustkami.

Tak się skończyła moja kariera sprzedawcy lodów. Wprawdzie nikt w domu nie powiedział mi złego słowa, lecz byłem pełen złych przeczuc na temat tego, co myślą sobie wszyscy o moim niedołęstwie. Muszę dodać, że po pierwszym roku nauki w seminarium nauczycielskim nie otrzymałem promocji na drugi kurs i moja sytuacja była godna pożałowania. Jedno niepowodzenie nakładało się na drugie. Zaczęło mi się wydawać, że nie nadaję się do niczego: ani do nauki, ani do pracy.

Rzeczywiście nasłuchiwałem się na ten temat od ojca, gdy po kilku dniach zdecydował się prosić o pracę



dla mnie w dyrekcji Poznańskiej Kolei Elektrycznej, a następnie posłać mnie tam osobiście. Chciał przelać na mnie całą swą pokorę wobec świata, a zarazem uczył mnie godzinami, co i jak mam czynić, gdy wejść do owego groźnego budynku pełnego tajemnic, gdzie decydują się losy ludzkie. Chodziło o to, bym się dostał do pracy, a przy tym nie zaszkodził jego świetlanej opinii, którą cieszył się od lat u bogów-pracodawców. Po udzieleniu nauk egzaminował mnie. Musiałem pokazać jak stanę, jak zapukam do drzwi, jak wejść do biura, jak się uklonię i tak dalej. Powtarzałem za nim słowo w słowo, co powiem w danej chwili i jak odpowiem na najbardziej nawet niespodziewane pytania. Miałem oczywiście także i ten obowiązek, by nie kłamiąc nie dopuścić do wyjawienia faktu, że nie otrzymałem promocji.

Szedłem do dyrekcji ulicą Gajową jak nagi i na dobytek prześwietlany rentgenem. Nie pamiętam dziś nic z przebiegu rozmowy z kimś wielkim. Wiem tylko, że zostałem przyjęty do pracy i otrzymałem niebieski mundur z czerwonymi lampasami oraz okrągłą czapkę bez daszka, w tych samych barwach.

Przed nowo wybudowanym wyjściem zachodnim z poznańskiego dworca głównego, czyli przed tak zwanym dworcem targowym, stały autobusy specjalne Poznańskiej Kolei Elektrycznej, przeznaczone do grupowych przejazdów. Do mnie należało utrzymywanie kontaktów między dyspozytornią a kierowcami i grupami. Odnajdywałem więc i kierowałem do odpowiednich autobusów grupy, przyjeżdżające do Poznania koleją. „Urzędowałem” przy telefonie i na telefoniczne zlecenie dyspozytora kierowałem wozy do wyznaczonych punktów w mieście. Bywało też, że sam dostarczałem autobusom klientów, to znaczy grupy, które wcześniej kontaktowały się z dyrekcją i powiadamia-



łem dyspozytora o takich przejazdach. Robiłem pewnie i inne jeszcze rzeczy. W sumie praca mi odpowiadała, nie wymagała handlowej smykałki, której nigdy nie miałem i nie mam.

Praca na PKE w związku z „Pewuką” przyniosła mi pierwsze w życiu zarobki. Miałem czternaście lat. Krótco potem mój brat Stefan do spółki z drugim kolegą cukiernikiem otworzył przy ulicy Strusia wytwórnię cukierniczą, która mogła świetnie prosperować, gdyby obaj fachowcy więcej pracowali, a mniej pili. Mój roboczy wkład polegał na tym, że wcześniej rano przed lekcjami roznosiłem blachy z ciastkami, pączkami i wysmienitymi „bombami” czekoladowymi do sklepach. Była to ciężka harówka, niestety wynagrodzenie za nią odkładano do czasu, gdy przedsiębiorstwo stanie na nogach. Cóż, kiedy zamiast stawać, kładło się powoli, aż wreszcie zostało rozwiązane. Przyczynił się do tego i rozpoczynający się kryzys.

Lepsze efekty dawała mi później praca popołudniami u wuja Tomka na Winiarach. Pomagałem mu w warsztacie rzeźnickim: kręciłem ręczne maszyny, prznosiłem naczynia, pilnowałem wędzarni lub gotowania wyrobów w olbrzymim kotle. Zawsze wracałem do domu z pakunkiem wędliny.

Nieźła, choć krótka była też moja kariera gazeciarska. Nie sprzedawałem gazet, lecz roznosiłem je po mieszkaniach prenumeratorów. W tym czasie liczba kiosków gazetowych była jeszcze niewielka, a niektórzy czytelnicy chcieli otrzymywać gazetę do domu.

Nie chcę tego rozdziału płać z początkami moich zarobków dziennikarskich i literackich. Nie sposób jednak nie wspomnieć tu, że swego rodzaju rozpoczęciem życia od nowa było pisywanie felietoników z ławy uczniowskiej do „Nowego Kuriera”, czyli dawnego „Postępu”, tego samego, który roznosiłem jako ga-

zeczniarz, a który był pierwszą gazetą mojego życia. Zasmakowałem pierwszej w życiu wierszówki i przeżyłem zdziwienie: więc można żyć z pióra?

Życie oczywiście nie można było, będąc szesnastoletnim niedouczone młodziakiem. Można było jednak oderwać się od zarobkowania pracą fizyczną, która przecież także nie starczała na życie.

Ale o sprawach związanych z pisaniem opowiem nieco dalej.

## Śmierć i miłość

Tragiczne śmierci, bo także tragiczne życia, przyszły na Turkowskich, gdy oderwali się od ziemi i od związanych z tą ziemią domów. Jan Piotr zamarzył na śmierć w gołym polu, w śniegowej zaspie. Cierpiąca dusza jego żony Ludwiki opuściła chore ciało w domu jej rodziców, w którym znalazła schronienie, gdyż mąż hulął po świecie. Syn Jana i Ludwiki, mój ojciec Stanisław, powiesił się, a jego żona Magdalena rozpoczęła swą agonię właściwie w szpitalu psychiatrycznym na Grobli w Poznaniu, gdzie straciła kontakt ze światem zewnętrznym i nic to nie znaczy, że sam zgon nastąpił na trzecim piętrze przy ulicy Głogowskiej 69, w miejscu jej wieloletniej mordęgi. Los wisielca wybrał również brat mego ojca, Władysław. Moją siostrę Janinę niechcący zabił w szpitalu lekarz niewłaściwymi zastrzykami, wkrótce po założeniu przez nią rodziny ze starym Matysiakiem, na cudzych właściwie śmieciach, w mieszkaniu pozostawionym przez najstarszą siostrę Longinę. Brat mój Stefan zmarł w dalekiej Ameryce bez żony i dzieci, bez rodzeństwa i przyjaciół

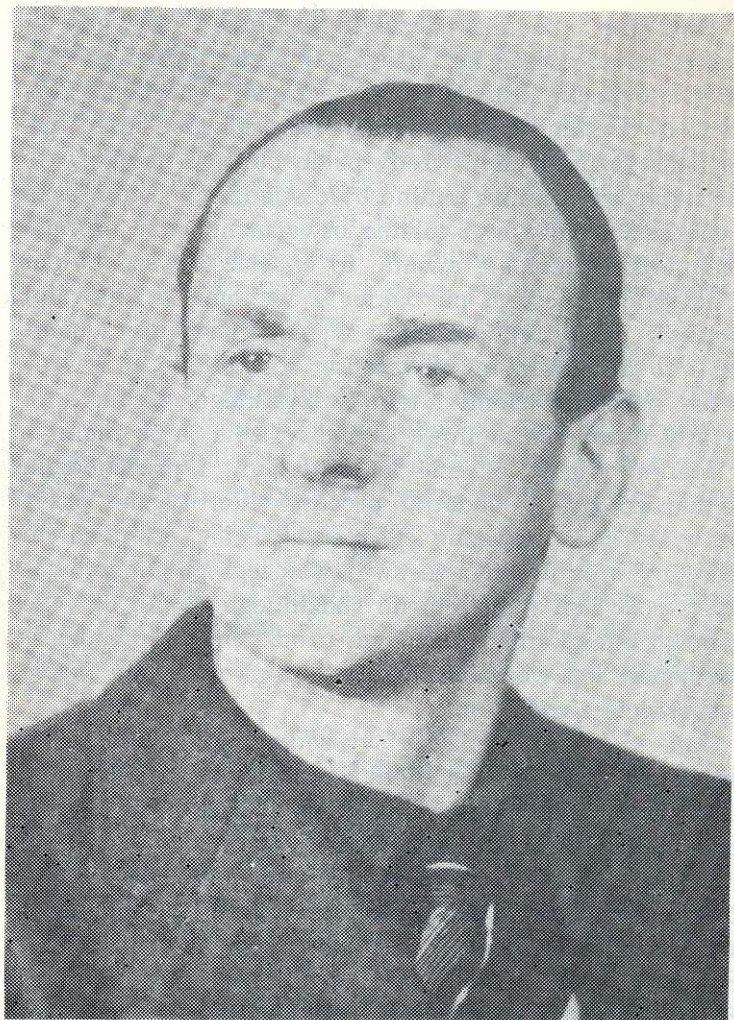
całego życia. Ja po raz pierwszy umarłem we wrześniu 1939 roku pod murem w Janowie Lubelskim nie mając nic, nawet paska u spodni, nawet żadnego dokumentu, byłbym nieznanym rozstrzelanym jak wielu. Drugi raz zacząłem umierać w gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ulicy Głowackiego w Olsztynie na posiedzeniu problemowej komisji do spraw oświaty i nauki, podczas którego to posiedzenia z nadmiernym zaangażowaniem zabierałem głos.

Ale przecież ja umrę zwyczajnie, prawdopodobnie tak, jak przystało umierać człowiekowi zaangażowanemu w życie i problemy XX wieku, albo w łóżku, albo w ruchu, zwalony trzecim już czy też którymś dalszym zawałem mięśnia sercowego. To może się zresztą stać gdziekolwiek, a jednak będzie w domu, bo dom to nie ściany. Jest on ze mną wszędzie, gdzie go czuję.

I nie będzie to jakieś umieranie pełne problemów, bo ani nie będę się martwił — jak moi przodkowie — o pozostawiony majątek, ani — jak jeszcze moi dziadowie i rodzice — o niedolę własnych dzieci. Moje dzieci mają zapewniony byt w miarę dostatni, w każdym razie godny człowieka. Ja przed śmiercią będę używał pogodnie swych dochodów, wystarczających, gdy nie ma się ani willi, ani samochodu. Dziś już nikt nie musi zbierać „na czarną godzinę”, bo czyni to za wszystkich państwo, zabezpieczając nas na starość i zapewniając naszym dzieciom pomyślność. Będę więc pewnie umierał z myślą: „Nażyłeś się, to odchodź, zrobiłeś tyle, ile potrafiłeś”.

Na mnie przerwane zostanie tragiczne pasmo, bo wróciłem do ziemi, od której odszedł mój dziad. Wydarłem tę ziemię dla siebie wieloletnią pracą partyjną, której trzydziestolecie obchodzę sobie po cichu w momencie kreślenia tych słów.





Brat autora Stefan Turkowski

Swą więź z ziemią odczułem już przed laty, gdy w mojej świadomości, kształtowanej przez poznański katolicko-endecki klimat, roily się myśli i uczucia, których owoc stanowiły wiersze ni to czerwone ni to nacjonalistyczne. Byłem wtedy pełen buntu i przekory — niestety, w Poznaniu trudno było wiedzieć, co to Marks i marksizm. Gdy wyzwolenie otwarło mi oczy na najpiękniejszą ideologię świata, to chociaż zawsze byłem i dotychczas jestem na bakier z wieloma przejawami polityki partyjnej, pozostaję wierny partyjnej ideologii i to dodawało mi zawsze sił do walki o przywrócenie narodowi ziemi i tego wszystkiego, co na niej. A gdy naród ma ziemię, to znaczy, że i ja ją mam.

Matka była w okresie klimakterium i przechodziła je bardzo źle, w dodatku procesy sklerotyczne przygotowały ją o poważne cierpienia. Toteż posłuchałem Longiny oraz Janki i ze swej włóczęgi po umeblowanych pokojach wróciłem do rodzinnego domu, do tego samego mieszkania, w którym urodziłem się dwadzieścia jeden lat wcześniej. Jakoś tam ułożyłem sobie współzycie z rodzicami.

Jak w każdą niedzielę wyszedłem po obiedzie na spotkanie z Zosią. Wsiadłem do tramwaju, pojechałem czwórką do Alej Marcinkowskiego, gdzie moja dziewczyna pracowała w kwiaciarni również w niedziele i święta, choć wtedy krócej niż w dni powszednie. Godzina jej wyjścia z pracy była chwiejna, zawsze bowiem zdarzyć się mogło, że zjawiający się w ostatniej chwili klienci zatrzymają ją na dłużej. Czasem więc czekałem na nią kwadrans, pół godziny, a kiedy indziej była już gotowa, gdym się zjawił w umówionym miejscu.

Tym razem stała już na przystanku tramwajowym w wąskiej brązowej sukience i również brązowym, fantazyjnym kapelusiku tak, jak ją widzę do dziś na



jednym z zachowanych zdjęć. Dałem jej z pomostu znak ręką, że oto już jestem. Lecz w następnym momencie wzrok padł na zieloną taksówkę, która zatrzymała się przed księgarnią Świętego Wojciecha. Nachylona ku kierowcy, rozliczająca się z nim kobieta w czarnej sukni, to była moja matka. A więc spełniła dziś swą groźbę, rzucaną od paru tygodni, że jak mnie złapie „z tym dziewczyskiem” to mu wydrapie oczy. Nie wątpiłem, że to uczyni i ulica stanie się świadkiem awantury, jeżeli nie zdążę temu zapobiec.

Gdy stanąłem przy Zosi, matka zatrzasowała drzwi samochodu. W następnym momencie zaczęła biec przez jezdnię. Wszystko teraz zależało od tego czy tramwaj ruszy natychmiast dalej, czy też wsiadanie pasażerów potrwa dłużej. Nie zorientowana Zosia czekała, kiedy się wreszcie z nią przywitam.

Na szczęście ruch w mieście był w niedzielne popołudnie słaby. Tramwaj ruszył, gdy matka znajdowała się w połowie drogi między nim a opuszczoną taksówką. Pociągnąłem Zosię za rękę, powiedziałem szybko:

— Wskakuj, jedziemy dalej!

Udało się, gdyśmy stanęli na pomoście, wskazałem dziewczynie matkę, z wyrazem rezygnacji na twarzy stojącą na wysepce tramwajowej. Ale to był tylko krótki moment dezorientacji. Ona wiedziała, co robi, taksówkarz czekał na nią. Poszła swym dostojnym krokiem w kierunku samochodu. Nie mogła biec, bo sklerotyczne zmiany nie pozwalały jej na większy wysiłek. Nie pozwalały i na takie nerwowe przeżycia, ale cóż mogłem więcej, niż tać przed nią swe spotkania z dziewczyną?

Teraz szybko porozumieliśmy się z Zosią, błyskawicznie przewidując okoliczności, które mogły nastąpić w najbliższych chwilach. Gdy tramwaj skręcał na



przystanek przy placu Świętokrzyskim, zielony samochód dopędzał go. Ale ja miałem już gotową koncepcję strategiczną. Z naprzeciwka nadjeżdżała inna czwórka i zaraz miała stanąć na drugim torze, równoległe do naszej. Pochwyciłem Zosię pod ramię i spokojnie przeprowadziłem ją przez tory. Matka straciła nas z oczu, byliśmy odcięci od niej dwoma pociągami tramwajowymi i nie mogła już widzieć niczego, cośmy robili dalej. Gdy zbliżyła się do czwórki, która nas przywiozła, ta ruszyła z miejsca, zmuszając matkę do czekania. W następnej chwili odjechaliśmy drugą czwórką.

Jechaliśmy schowani za plecami innych pasażerów. Wznosiliśmy się pod górę ulicą Podgórną ku Alejom Marcinkowskiego. Widzieliśmy moją matkę, jak przeszła przez tory na przeciwległą wysepkę i rozglądała się za nami.

Powoli straciłem ją z oczu. Ale nie straciłem z myśli. Wiedziałem, że przyczyną wszystkiego jest zazdrośna o mnie stara kobieta, właścicielka kwaciarni, która szczyła matkę i zwracała jej koszty gonitw.

Tramwaj stanął w Alejach Marcinkowskiego. Byliśmy wolni, udaliśmy się na zaplanowany spacer, spędziliśmy razem jeszcze jeden piękny dzień. Upór matki wzmagał we mnie reakcje obrony mej miłości, to było naturalne, tak jest zawsze na świecie.

Na szczęście reakcje te nie były tak silne, by mnie skłonić do zawarcia małżeństwa z Zosią. Ustrzegłem się tego ożenku i Zosia pozostała dla mnie jasnym wspomnieniem młodości, wielką miłością, która nie zdążyła się przerodzić w wielką nienawiść. Pozostało po tej miłości parę erotyków. Oto jeden z nich. Wiersz nie budzi wątpliwości, że chodzi o nią, a nie o kogoś innego. Zosia mieszkała bowiem na parterze oficyny domu przy ulicy Półwiejskiej 5. Gdy pisałem ten erotyk, miałem dziewiętnaście lat.

## ULICA PÓLWIEJSKA

Nie stanął tu żaden pałac  
ni geniusz tu żaden nie zstąpił.  
Proste się domy zebrały,  
los chodził po domach skąpy.  
Z kamienic urosła ulica,  
dzieci obdarte przed domem,  
wąski bruk przecinany  
nożami tramwajowych szyn.  
Lecz jedna kamienica  
pełna jest dobrych wspomnień,  
które kłębią się z bramy,  
jak z kuchni półwiejski dym.  
Czemuż nie stanął tu pałac?  
Czemuż nie plac tu świetny?  
W podwórzu jest tylko śmietnik  
i mrok.  
Nie stała tu żadna chwała.  
Idzie się tylko w podwórze,  
po lewej drzwi w szarym murze,  
sień,  
kurz,  
mrok się po schodach wspina,  
cień  
i jeszcze krok —  
i już.

O, moja miłości jedyna!

Moją pierwszą miłością była więc Zosia K., ta szczupła dziewczyna, która potem roztyła się i uszczęśliwiła jakiegoś folksdojczya podczas okupacji hitlerowskiej. Trudno tu zresztą o wyznaczenie pierwszeństwa, bo moje życie erotyczne narodziło się stosunkowo późno, gdy miałem już około osiemnastu lat. Dlatego będę tu niekiedy nazywał swą pierwszą miłością zupełnie coś innego.

Czy więc Zosia K. była pierwszą moją miłością?

Trudno o wyznaczenie pierwszeństwa również dlatego, że potrafiłem kochać równocześnie dwie i trzy dziewczyny, co zresztą nie jest bynajmniej moim wynalazkiem. Potrafiłem to zresztą przez całe życie. Moja prawda o jednej jedynej miłości jest prawdą o wielu kobietach. Każda z nich jest pierwszą w życiu, każda jest odkryciem, olśnieniem i fascynacją.

Czy więc Zosia K. była pierwszą moją miłością? Może była nią Zosia Łukowska, wspaniała, piękna, inteligentna dziewczyna ze Środy, siostra mego przyjaciela Tadzika Łukowskiego, która zresztą prawie równocześnie z nim w grudniu 1938 zmarła na gruźlicę. Może Marylka Szyszkówna ze Środy, urocza dzierlatka prosto z dziewiętnastowiecznej powieści, siostra Kazi Szyszkówny, z którą przyjaźniliśmy się poważnie, intelektualnie i poetycznie? Może Irka K., druga obok Zosi miłość na wielką skalę, miłość wielka? Ta sama Irka, która w lutym 1940 roku poszła do Oświęcimia i została zamordowana jeszcze tego samego roku. A może Emilka S., wspaniały kompan do wszystkiego, przyjaciel gotowy w każdej chwili na eskapadę, na każde szaleństwo? Czy może — bo ja wiem — ta Kasia z kwaciarni przy ulicy Głogowskiej, ta smarkata lecz cudowna Kasia, z którą spotkania przyprawiały mnie wprost o obłęd? Daremnie snułbym tę wyliczankę, która mogłaby wyglądać na przechwałki. Mierząc swe młodzieńcze uczucia ich wielkością, muszę jako pierwszą miłość wymienić jednak Zosię K.

Pozostańmy więc przy Zosi. Kochałem ją na śmierć i życie, na dołę i niedołę, kochałem na wieki i właściwie do dziś ją kocham, oczywiście tę osiemnastoletnią, która mnie kochała. Była to doła i niedoła bardzo realna. Gdy okresami stać mnie było na to, fundowałem jej kino i kawiarnię, czekoladę, taksówkę, wycieczkę. W innych okresach żyłem kanapkami, które ze swego



domu przy ulicy Półwiejskiej przynosiła mi do mej wynajętej kawalerki przy ulicy Długiej (Nazywało się to „umeblowanym pokojem do wynajęcia” i kosztowało od 15 do 35 złotych, w zależności od komfortu). Zosia była spełnieniem moich marzeń i tęsknot, była otwarciem mego życia i jego perspektywą. Była moim ogromnym szczęściem, największym szczęściem świata.

Czy na pewno kochała mnie także? Tak mnie przynajmniej zapewniała, a nie miała powodu okłamywać, bo nie stanowiłem żadnej „partii”. Zresztą dawała mi dowody miłości. Towarzyszyła mi w biedzie i w okresach prosperity, cierpiała prześladowania ze strony swej zazdrosnej o mnie szefowej. Dla mnie zmieniała pracę, by zejść z oczu rywalki. Była mi wierna do końca i do końca była dobra.

W roku 1936 pisałem wiersze o miłości, jednak przede wszystkim o ziemi. A gdy się pisze o ziemi, nie można nie pisać równocześnie o matce. A może i to spojrzenie na ziemię było właściwie spojrzeniem na matkę?

Chorowała już wtedy bardzo ciężko, może przeczuwałem, że umrze? Po wspólnej z nią wyprawie do Promna pod Pobiedziskami, zakończonej wyjazdem karetką pogotowia ratunkowego do szpitala w Poznaniu, nie doszła już do lepszego stanu zdrowia, dożyła tylko do następnej wiosny.

Promno... Pamiętam, szliśmy z nią razem na spacer w czerwcowe popołudnie i rozmawialiśmy o przyrodzie, unikając jakiegokolwiek tematu rodzinnego, bo cokolwiek byśmy poruszyli, prowadziłoby to do jętrzenia ran.

Wiosna była w pełni, kończyła się właściwie i słońce grzało niekiedy lipcowym skwarem, niekiedy zaś jeszcze majowym, nieśmiałym ciepłym. Świat buchał zielonością w jaskrawe niebo, ptactwo krzyczało na

wszystkie możliwe głosy. Rozpoznawaliśmy z matką na wyrwyki gatunki drzew i krzewów, kierując się to wyglądem pnia lub korony, to wielkością, kształtem i odcieniem liści. Najtrudniej przychodziło mi rozróżnianie niedojrzałych zbóż. Ona miała w tym lepszą niż ja wprawę. Uczyłem się więc od niej analizować krój podłużnych źdźbeł. Potem nazywaliśmy byliny, kwiaty leśne i polne. Spotykaliśmy jagodziska jeszcze bez jagód, wspominaliśmy jagodobranie w Puszczykowie z dawnych czasów.

Wracaliśmy ze spaceru na obiad lub kolację do domku dróżnika, położonego wysoko nad szosą, łączącą Kostrzyn z Pobiedziskami. Było to w wiosce Promno, odległej o parę kilometrów od kolejowego przystanku letniskowego, na linii do Gniezna. Znaleźliśmy to miejsce z Longiną i jej mężem, kompozytorem Tadeuszem Zygfrydem Kassernem. Pamiętam, jak któreś majowej niedzieli oni przyjechali do Promna pociągiem, a ja nowo nabytym rowerem. Kassernowie podchwycili moją myśl wspólnego z matką wyjazdu na wieś i oświadczyli, że koszty jej pobytu wezmą na siebie. Żona dróżnika zgodziła się przyjąć nas do dwuosobowego pokoju razem z wyżywieniem za stosunkowo niewielką opłatą.

Były to pierwsze moje w życiu wakacje za pieniądze, pierwsze wakacje w jej życiu i pierwsze nasze wspólne wakacje. W jej życiu miały być dwoma tygodniami wspólnej radości. Nie trwały nawet tyle.

Raz po raz budziła się w nocy, jęcząc z bólu i dysząc z braku tchu. Miała z sobą jakieś lekarstwo, które pomagało albo nie. Zapalałem lampę naftową i patrzyłem na siedzącą na krześle, jak trzymała się za głowę, dysząc ciężko i z trudem łapiąc powietrze. Zazwyczaj po jakimś czasie atak mijał.

Tego wieczoru zaledwie zdążyliśmy zasnąć, gdy obu-

dził mnie jej krzyk. Atak był dokuczliwszy niż zwykle. Mijała godzina jedna, potem druga, było już po północy, a błagania matki o haust powietrza wzmagaly się. Nie spali także nasi gospodarze i sytuacja tym bardziej stawała się beznadziejna, ostatecznie wynajęli gościnny pokój, a nie szpitalną izolatkę.

Nie mogłem dłużej patrzeć na jej cierpienia. Przy pomocy gospodarza znalazłem człowieka z furmanką i po godzinie pierwszej w nocy wyjechałem do Pobiedzisk. Widząc czekający pojazd, zbudzony lekarz ubrał się i wsiadł. Dogadaliśmy się w drodze łatwo, bo znał mnie z moich publikacji. Tym gorliwiej zajął się chora i potraktował ją jako pacjentkę ubezpieczalnią. Lecz nic już nie pomogło. Zapowiedział więc, że wróci do siebie i telefonicznie wezwie z Poznania pogotowie ratunkowe. Był już szary, chłodny, przejmujący świt. Cierpienia mamy nie ustawały.

W jasny, słoneczny ranek jechaliśmy do miasta karetką. Nie znałem się na szpitalnych formalnościach, więc po drodze wstąpiłem do siostry, potem do ojca po dowód ubezpieczenia.

W południe wróciłem koleją do Promna. Zjadłem obiad razem z gospodarzami. Postanowiłem zostać sam na lotnisku. Gospodarze wrócili właśnie z procesji, bo był to dzień Bożego Ciała. W tym uroczystym dniu gospodyni po obiedzie poczęstowała kawą, a ja zafundowałem ćwiartkę wódki, przytakując jej, że ani kropli więcej. Przyszedł jakiś sąsiad i graliśmy w karty. Potem dla przewietrzenia się poszliśmy — sami mężczyźni — nad jezioro. Przechodząc jednak obok knajpy wstąpiliśmy na jeszcze jedną ćwiartkę.

O zachodzie słońca znaleźliśmy nad jeziorem jakąś łódź i wyprawiliśmy się nią na cudną, gasnącą w brzaśku toń. Chciałem zapomnieć o cierpieniach matki, lecz im więcej piłem, tym wyraźniej zjawiała się we mnie.



Niestety, nie tylko pamięć moja nie poddawała się chwiejnej woli. Nie poddawały się jej i wiosła. Szły one swoją drogą, a łódź swoją, my zaś kierowaliśmy jednym i drugim jedynie gromkimi okrzykami i przekleństwami, co wcale nie pomagało.

Gdy powiadomiona o pijackiej wyprawie gospodyni przybiegła po męża, nie dałem się poprowadzić do domu. W knajpie grała muzyka. Chłopi przy bufecie pili piwo i wódkę, dziewczuchy pod drzwiami czekały na partnerów do tańca. Ciągnęło mnie tu i tam. Kazałem kolejkę dla orkiestry i zacząłem tańczyć do upadłego. Potem kazałem kolejkę dla wszystkich obecnych i znów tańczyłem. Nagle wszystko się skończyło.

Obudziły mnie blaski wysoko stojącego słońca. Leżałem w zabrudzonej pościeli. Głowa pękała mi, gospodyni załamywała ręce. Pocieszyłem ją, że za pranie zapłacę osobno. Dowiedziałem się, kto przyniósł mnie na plecach do domu, gdy w knajpie upadłem na podłogę jak martwy. Miałem potworne pragnienie, nie mogłem jeść i marzyłem tylko o piwie. Ale nie pozostał mi ani grosz, straciłem wszystko doszczętnie i zostałem niewypłacalny w stosunku do gospodyni. Dla dopełnienia wszelkiego zła nie przewidywałem w najbliższym czasie żadnych zarobków.

W knajpie dowiedziałem się, że zostałem dłużny jeszcze cały majątek, to znaczy dwadzieścia pięć złotych. Ale piwo rozpedziło chmury, orzeźwiło mnie i napełniło jaśniejszymi myślami. I tylko tragiczna pamięć cierpiącej matki tkwiła w mózgu tępą zadrą.

Pojechałem na rowerze do Poznania, pozostawiając obietnice restauratorowi i gospodyni. Obietnice, w które sam nie wierzyłem. I rzeczywiście od tego dnia nie byłem we wsi Promno. Rachunek za pobyt mój i matki zapłacił szwagier Kassern. Nie żałuję go, bo miał czym płacić. Lecz gnębiły mnie straszliwe wyrzuty su-

mienia na myśl, że matka może się o tym wszystkim dowiedzieć.

A przecież wtedy, w ów dzień Bożego Ciała, rozpoczęła się jej śmierć. Po tej śmierci napisałem wiersz:

### NARODZINY MATKI

W rozplakanej ciekawości bab,  
w samotności deptanej cmentarza,  
pod tłustością namaszczonych łap  
zanurzonych w szelesty brewiarza,

pod kwietniowych niebios pieśnią głuchą,  
poza szklanych oczu mych pryzmatem,  
z Requiescat co świdruje w uchu  
ni nicością ni nawet utratą,

czernią żalu co wśród grobów lśni  
konwenansem błyszczącym i gładkim,  
przy upływach mojej własnej krwi —  
narodziny mojej własnej matki.

Wzrok mój posiadał cię, dotyk i słuch —  
jako nigdy dziś ciebiem odzyskał,  
gdy pożera ciebie ziemi brzuch:  
wielka, rodna, żywotna kołyska.

Więc wylałam w mroku galaktyki  
— na snop gwiazdny usiądę okrakiem,  
rozkołyszę ziemię niemym krzykiem.  
Gwiazdy będą ci śpiewać, jak ptaki.

Wypiąstuję cię instynktów siłą  
— narodzoną na nowo za światem —  
bo nie miałem cię dosyć, gdyś żyła.  
Dziś mi dała cię rozpacz utraty.

## I jeszcze groby

Byłem zbyt dorosły, by nie wstrząsnęło mną to, co działo się z matką. W dodatku drukował się mój tomik wierszy, dyszący miłością do matki i miłością do ziemi, „Krew ziemi”. Byłem w toku pojednania z matką, ten tomik miał jej powiedzieć wszystko, miał nas sobie nawzajem przywrócić w sposób ostateczny. Pierwszy wiersz w zbiorze to dedykacja dla niej. Utwór z pewnością słaby, lecz dla mnie bardzo ważny.

Sprowadziliśmy ją ze szpitala, pozbawioną od paru dni świadomości, po zapewnieniu lekarskim, że jest to agonia i nie ma żadnego ratunku. Chcieliśmy, by umarła w domu, tak jak tego pragnęła przez całe życie. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że spełniamy jej życzenie, bo nie miała z nami żadnego kontaktu. Nie reagowała na nic, oczy jej były stale zamknięte, ciężko dyszała. Nie cierpiała więc, jak sądzę. To skleroza ogarnęła zbyt wiele organów, opanowała także mózg. Czuwaliśmy przy niej na zmianę bez przerwy dzień i noc, na wypadek, gdyby jej wróciła przytomność, gdyby czegoś zażądała. Chodziło o to, by w ostatniej chwili czuła naszą obecność.

Oddech jej uspokajał się stopniowo, widać było, jak życie uchodzi z niej powoli. Momenty ożywienia oddechu trwały coraz krócej. Chwilami musiałem przybliżyć się do jej twarzy dla wyczucia tchu.

Tego kwietniowego popołudnia, które miało się stać jej ostatnim popołudniem, byliśmy w domu wszyscy prócz brata Stefana. Czekaliśmy na moment decydujący. Zawsze przeczuwałem, gdy matce coś groziło. Pewnej nocy — jeszcze przed laty — zbudziłem się i zaniepokojony poszedłem do kuchni, czego nie robiłem nigdy. Zostałem ją siedzącą na krześle, pochyloną nad kuchenką gazową, a gaz ulatniał się z sykiem.



Któregoś popołudnia — miałem chyba ze czternaście lat — poszedłem do małego kina na ulicy Strusia. Wyszedłem z niego w połowie seansu, wiedziony niejasnym niepokojem pobiegłem na trzecie piętro naszej kamienicy i wpadłem do mieszkania. Było już ciemno, matka leżała w małym pokoju na sofce, gaz ulatniał się z lampy sufitowej. Pociągnąłem szybko za łańcuszek i szeroko otworzyłem okno. Wtedy usłyszałem jej szloch.

Tego popołudnia, które było jej ostatnim, stanęliśmy we czworo nad jej łóżkiem i jeżeli ktoś musiał odejść na chwilę, to wracał natychmiast. Staliśmy tak bardzo długo, a ona tylko spokojnie oddychała, jakby lżej, prawie niedostrzegalnie, tak, że musieliśmy raz po raz pochylać się nad nią, by stwierdzić, że jeszcze żyje. Wreszcie rytm jej oddechu zaczął się wzmagać. Wtedy otwarła oczy i powiodła po nas wzrokiem, jakby była zupełnie przytomna i jakby sprawdzała czy jesteśmy w komplecie. Lecz zaraz w następnej chwili powieki jej opadły i z ust wydobyło się wyraźne tchnienie, które było ostatnim.

W następnym momencie ojciec nasz osunął się nieprzytomnie na podłogę. Zdążyliśmy go pochwycić i położyć na łóżku. Ocuciliśmy go łatwo. Gdy otworzył oczy, odwrócił się na bok do ściany i zaczął mocno szlochać.

Zapewne trudna jest śmierć matki, gdy umarł Bóg. We mnie Bóg umierał kilka razy. Lecz wtedy nie było go już we mnie prawie nieodwołalnie. Nie mogłem więc obiecywać sobie spotkania z matką u niego w zaświatach, jak to mogą czynić ludzie wierzący.

Nad grobem mojej matki, który od iluś tam lat jest także grobem ojca, bo Irena po dokonaniu ekshumacji złożyła także jego kości w tym samym miejscu, pochyla się żałobny wiąz. Z grubego pnia na niewyso-

kim łbie, podobnym do wierzbowego, wyrastają gałęzie w jedną stronę, w stronę grobu, tworząc jak gdyby baldachim. Drzewo to zaraz po pogrzebie zasadziła własnoręcznie współwłaścicielka kwaciarni Aniela Budrewiczowa. I ona już nie żyje, choć przeżyła swą siostrę Annę Krajewską. Zmarły obie po wojnie. Nie wiem nawet, gdzie ich groby.

Biedna mama. Jestem dziś starszy od niej i wiem, jakie niemądre było jej ciągle miotanie się w gniewach, rozpaczach, smutkach. Jak niemądre i niepotrzebne! I sam dziś nie jestem pewny, co mi nie dawało żyć i uczyć się w rodzicielskim domu: ojcowski niedobry charakter pedanta i sknery, miotanego gniewem z byle jakiego powodu, czy jej skłonność do przejmowania się wszystkim, granicząca z histerią. W sumie bowiem dom nasz był domem gniewu i rozpacz, a mama zawsze wyciągała ręce z samego dna smutku.

A może to ona swym przeczuleniem i nadwrażliwością dała mi to życie uczuciowe, bez którego moje bytowanie na ziemi dziś wydawałoby się bezbarwne i nijakie?

Jeszcze po śmierci pamięć jej sterowała niejako moim myśleniem. Wtedy właściwie na dobre utraciłem wiarę, której nie miałem co prawda już w dniu pierwszej komunii, którą jednak na krótkie okresy odzyskiwałem pod wpływem otoczenia.

Straszny ból i jakieś zaczadzenie po jej śmierci nie pozwalały mi sypiać po nocach. Wzywałem ją po nocach, by przyszła do mnie, by się zjawiała. Przeżywałem wtedy krótki okres nawrócenia i modliłem się o możliwość zobaczenia jej. Daremność tych próśb przekreśliła we mnie w sposób ostateczny wiarę w życie pozagrobowe. Gdyby jej dusza istniała, moje próśby nie mogłyby zostać nie spełnione. Wzywałem ją głośno podczas ciemnych nocy leżąc samotnie w łóżku i wy-

ciągałem ręce do nieba zaklinając ją, by przyszła. Jej nieobecność targała mną boleśnie. Wreszcie zmęczony śmiertelnie łkałem cicho i dopiero wtedy czułem bliskość mamy, lecz była to tylko obecność w myślach i uczuciach, a ta mi nie wystarczała.

Dziś już nie wołam ciebie, mamo. Wiem, że zostało po tobie tylko tyle, co na górczyńskim cmentarzu oraz ogromnie wiele, co tkwi w nas, w naszej pamięci o tobie.

A jeżeli już o grobach, to czy nie trzeba tu przypomnieć Irki K., która nie ma grobu? Była tu już o niej mowa. Lecz przecież wśród grobów najbliższych mi ludzi muszę postawić taki choćby mały, prywatny pomnik dziewczynie, która została zamordowana w Oświęcimiu. Wbrew temu jednak, do czego jesteśmy przyzwyczajeni, nie będzie to obraz martyrologiczny, tak samo jak moje wspomnienia o wojnie nie będą obrazami ani bitew, ani okrucieństw.

Napiszę więc liryczne wspomnienie o narodzinach miłości. Ludzie mordowani przez hitlerowców byli zwykłymi, normalnymi ludźmi. Irka żyła w dodatku bardzo intensywnie, zachłannie. Chcę ją tu pokazać taką na zasadzie kontrastu, może to podkreśli cały tragizm jej męczeńskiej śmierci?

Na wiosnę 1936 roku zostałem powołany do służby wojskowej. Były już wtedy Aniela i Anna, były Zosia i Kasia. Lecz drugą moją z największych miłości była Irka.

Zaangażowany uczuciowo wobec Zosi, po powołaniu do koszar w Mołodecznie znienawidziłem wojsko. Wpadłem w paniczny strach przed wyrwaniem z dotychczasowego bądź co bądź swobodnego życia, a do tego przerażała mnie odległość Mołodeczna od Poznania. Przecież miałem się znaleźć na samym północno-wschodnim krańcu ówczesnej Polski, daleko za Wil-



nem. Niczemu jednak nie mogłem zaradzić, choć chwilami myślałem o samobójstwie lub samouszkodzeniu.

Przyszła pora zbierania się w drogę. Mieszkałem wtedy w domu rodziców, powróciłem do niego na pewien czas, tym razem ze względu na ojca, który mnie o to prosił. Był to mój pierwszy w życiu wyjazd na dłużej i musiałem pomyśleć, w co zapakuję swoje mienie. Rozwiązałem tę zagadkę łatwo, bo nieraz widziałem chłopaków jadących do wojska z drewnianymi kuferkami, które można postawić w sali żołnierskiej pod łózkami. I zaraz Janka podpowiedziała mi, że w naszym podwórzu mieszka stolarz, który może zrobić taki kuferok. Nie wiedziałem tego, bo wtedy już trochę przestałem się orientować w liście lokatorów kamienicy Genslera.

Zgodnie ze wskazówkami siostry poszedłem na podwórze i skierowałem się do piętrowej oficynki, przycupniętej do ściany posesji Hazego. Ktoś tam mieszkał na pięttrze, ktoś na parterze, będącym właściwie suteroną, bo mieszkanie leżało poniżej poziomu podwórza. Wszedłem do tej sutereny. Zastałem kilkunastoletnią dziewczynę, opiekującą się młodszymi od niej chłopcami. Z miłym uśmiechem oznajmiła, że tata wróci po południu z pracy, bo pracuje jako stolarz w fabryce Cegielskiego, a mama akurat leży w szpitalu. Była rozmowna, miła, uśmiechała się serdecznie. Dość ostre rysy, dolna szczęka nieco wysunięta, przezroczyście oczy, w których — zdawało mi się — widać było aż samo dno dobrego serca. Już wiedziałem, że mam przyjść w godzinach popołudniowych, lecz siedziałem na krześle i nadal słuchałem jej urzekającego, ciepłego, miękkiego głosu. Nie chciało mi się wychodzić z tego biednego domu.

Spotkaliśmy się w parku, już po rozmowie ze stolarzem. Ona trajkotała, ja słuchałem zdumiony i roz-

anielony. Myślałem: „Jak mogłem jej dotychczas nie zauważyć”.

Dowiedziałem się od Irki wszystkiego o jej rodzinie. Przyjechali tu z podwileńskiej wsi w poszukiwaniu pracy. Tata wreszcie znalazł pracę u Cegielskiego, ale mama już drugi raz po przyjeździe choruje, lecz najpóźniej pojutrze wróci ze szpitala. Domyśliłem się z tego opowiadania, że po tym powrocie nie będzie tak łatwo się spotkać, bo mama krótko trzyma córkę. Zresztą — to moje wojsko. Dowiedziałem się jeszcze, że Irka od wczesnego dzieciństwa pracuje w domu. Wyręcza matkę w wielu sprawach, a w czasie jej choroby całkowicie prowadzi dom i wychowuje braci, wcale na to zresztą nie narzekając.

Cudne były te dwie godziny, spędzone z uroczą, dzielną dziewczyną. Gdy wróciliśmy ze spaceru razem aż pod sam dom, zapadał zmrok. Weszliśmy do frontowej sieni, wyciągnęliśmy do siebie dłonie. Drugą, lewą ręką dotknąłem jej miękkich, puszystych włosów. Pociągnąłem ją do kąta sieni. Nie było nikogo, choć w każdej chwili mógł ktoś wejść. Lecz gdy ujrzałem z bliska te oczy, było mi wszystko jedno i objąłem Irkę. Zarzuciła mi ręce na szyję. Nasze usta spotkały się bezbłędnie. Twarz dziewczyny jaśniała szczęściem. A we mnie wszystko pulsowało.

Widziałem ją jeszcze raz i dwa podczas rozmów z jej ojcem w sprawie kuferka. Także, gdy poszedłem po niego dwa dni przed swym wyjazdem. Wreszcie spotkaliśmy się jeszcze raz w przeddzień tego wyjazdu, na krótko, na pół godziny. Zdążyliśmy obejść park dookoła. Znaleźliśmy samotne miejsce, zaszyliśmy się w gęstwinie krzewów i całowaliśmy się tam namiętnie, półprzytomnie. Aż wreszcie trzeba było się pożegnać. Gdyśmy doszli do naszej bramy, Irka zapytała cichutko:

— Będziesz o mnie pamiętał? Pomyślisz czasem?

— O, tak — zapewniłem ją szczerze. — Wyniosłem z twego domu walizkę, a zostawiłem w nim serce.

Zachwyciła się tym banalnym oświadczeniem, ale już musiała biec, by nie narazić się matce. Sfrunęła po ceglanych schodach na dół, ku swej suterenie.

A ja następnego dnia pojechałem do Warszawy, z niej do Wilna, stamtąd do Mołodeczna. Ogarnęła mnie taka nostalgia za wolnym, niekoszarowym życiem i za Poznaniem, że zapomniałem o nowo poznanej dziewczynie.

Gdy po dwóch miesiącach wrócił, wolny na rok, z odroczeniem z powodu gruźlicy, państwo K. nie mieszkali już w suterenie posesji Genslera, a mnie pochłonęło tyle spraw, że nawet nie zainteresowałem się, gdzie mieszkają. Później zapomniałem o Irce, pozostała we mnie tylko ciepła, dobra iskierka.

Miałem ciężki rok. To pod koniec tego ciężkiego roku zmarła moja matka. Wkrótce po pogrzebie musiałem wrócić do Mołodeczna. Zwolniony stamtąd znów po kilku tygodniach, przeżywałem koszmar bólu po utracie tej, z którą miał mnie pojednać tomik wierszy „Krew ziemi”, włożony jej do trumny pod głowę.

Sprawa z walizką i dobry duch tej sprawy przypomniały mi się dopiero gdzieś po dwóch latach. W porozumieniu z redaktorem „Orędownika” podrzucałem mu od czasu do czasu współczesne nowelki, w których akurat zacząłem się specjalizować. „Waliza i serce” — to był w sam raz temat na taką nowelkę do gazety codziennej. Dałem jej nawet taki tytuł.

Mieszkałem wtedy przy ulicy Głogowskiej w pobliżu zachodniej strony dworca, u jakichś ludzi na parterze, więc raz po raz odwiedzałem siostrę Jankę i ojca. I otóż któregoś dnia Janka podała mi list adresowany do mnie i powiedziała:



— Przyniosła to jakaś dziewczyna i powiedziała, że dla ciebie.

Pomyślałem, że to któraś z wielbicielek, które się czasem odzywały, ale jak tutaj trafiła? Po otwarciu koperty rzecz stała się jasna. Irka donosiła mi, iż przeczytała nowelkę, że cieszy się z mej pamięci o niej i pyta czy nie byłoby dobrze spotkać się. Ogarnęła mnie wielką radość. Ból po utracie matki trwał, z Zosią skończyłem wtedy rzeczywiście „na zawsze”, a choć dziewczyn mi nigdy nie brakowało i akurat otrzymywałem listy od jakiejś dzierlatki z Bydgoszczy, perspektywa spotkania z Irką ucieszyła mnie niezmiernie.

Ponieważ podała adres i to nawet bliski, bo ulicę Strusia 6 — poszedłem tam zaraz następnego popołudnia. I to był dopiero początek wielkiej miłości — drugiej miłości mego życia.

Kochaliśmy się szalenie, namiętnie, lecz nie będę tu opisywał w szczegółach naszego pożycia, tego wszystkiego co nas łączyło i dzieliło, naszych odejść i powrotów. Rozstawaliśmy się zawsze z wielkim bólem. Najbardziej rozdzielała nas jej matka, której ideałem był rzemieślnik ze stałą pracą, taki jak jej mąż, a nie cygan bez stałego zajęcia. Wracaliśmy do siebie zawsze z wielką radością. A chociaż największa namiętność wreszcie się wypaliła, utrzymywaliśmy kontakt jeszcze po wybuchu wojny. Była to już wtedy tylko miła znajomość. Odwiedzałem państwa K. zwłaszcza wtedy, gdy mieszkałem blisko nich, przy ulicy Strusia 3. Widywałem się z dziewczyną jeszcze, gdy pracowała w sklepie tekstylnym przy Starym Rynku i miała już innego chłopca. Spotykaliśmy się raz po raz aż do ostatniej chwili, do jej aresztowania.

Znikła nagle. Krótco przed wyjazdem do Generalgouvernement dowiedziałem się, że jest w Oświęcimiu.

Wiść o jej męczeńskiej śmierci doszła mnie dopiero

później, gdym w którymś roku okupacji nielegalnie odwiedził Poznań.

Wróciwszy do Poznania na dobre pod koniec wojny, na przełomie lutego i marca 1945 roku, odwiedziłem i państwa K. Matka Irki była prawie obłąkana. Wierzyła, że jej córka żyje, że wróci, nie mogła się tylko doczekać tej chwili i pomimo całej wiary miotała nią niepewność. Pokazywała mi doniesienie z obozu Auschwitz i metrykę śmierci, ale twierdziła uporczywie:

— Przecież o niektórych takie zawiadomienia przyszły, a jednak oni wrócili.

Powoływała się na przykłady. Przytakiwałem jej bez przekonania.

— Przecież to niemożliwe, żeby Irka nie żyła! — wołała biedna, załamując ręce i łkając głośno. — No niech pan powie czy to możliwe! Przecież pan ją znał, pan ją kochał, panie Leonardzie! Czy ona może nie żyć?

Unikałem słów. Unikałem spojrzeń. Uciekłem wreszcie z tego nieszczęsnego domu. Takim matkom nie można było pomóc.

Irka nie wróciła nigdy. Oświęcimskie papiery mówiły prawdę, choć biedna matka nie wierzyła im i aż do chwili swej śmierci oczekiwała powrotu ukochanej córki.